

przewycię-
żyć złe
nawyki

sztandar

prawa do
protestu

3



licealiści
o miłości
i małżeń-
stwie



ułożyć
skopanego
w malowni-
czej pozie



sam jeden
i traktor

13

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

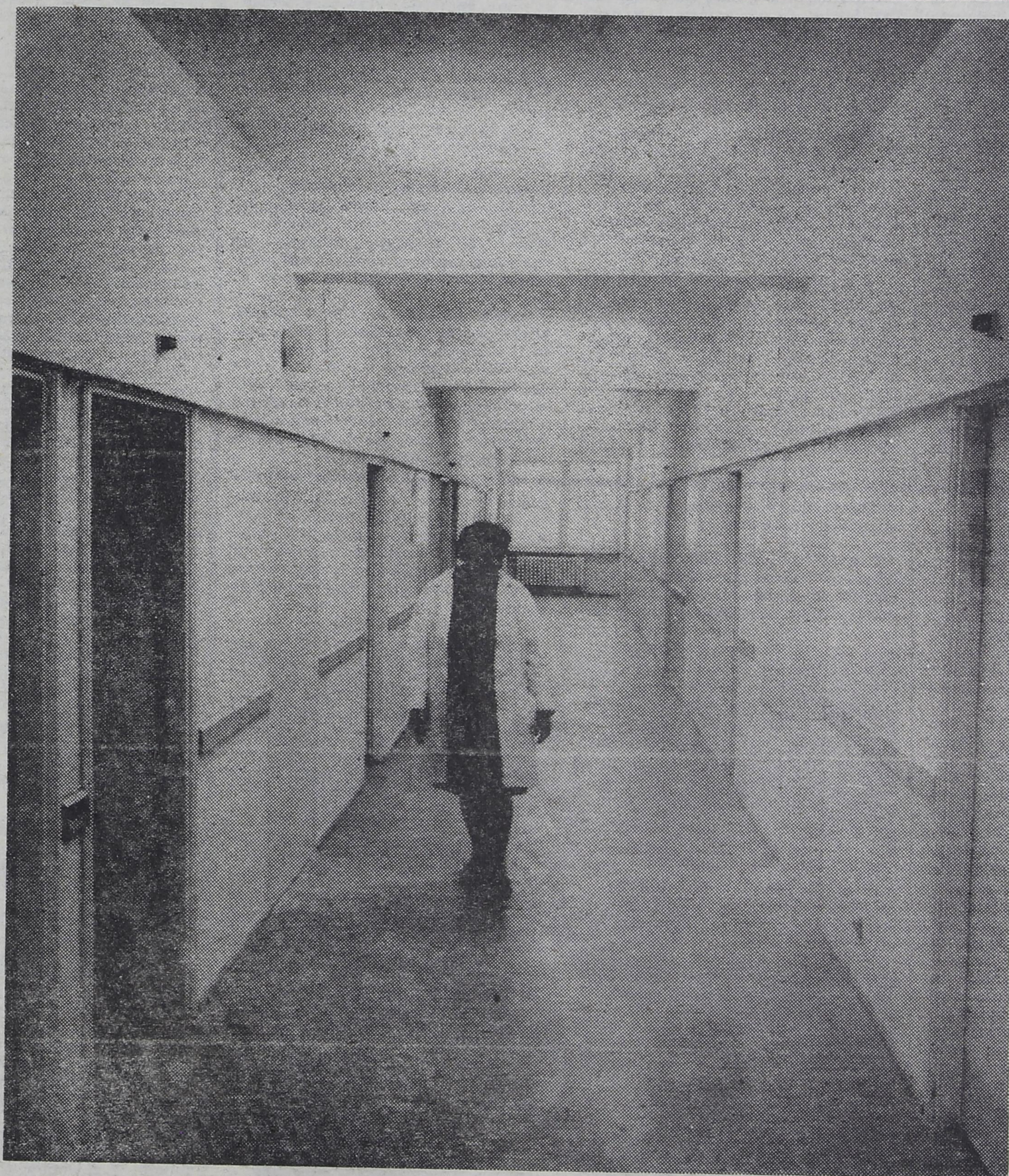
6

(33)

KONTAKTY

15 II 1981

Cena 4 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

NINA OMELCZENKO

**mury
stoją
premie
są**

1. O PIĘKNYM I UROKLIWYM SZPITALU

Szczególnie malowniczo wygląda w białozimowej szacie, ukrywającej dyskretnie szczegóły. Dostojnie i schludnie. Tak, jak powinien wyglądać obiekt formowany i pieszczony w każdym szczególe przez lat z górą śladem. Jakże wiele spraw może zdarzyć się w tym okresie. Ale tu przecież także dokonano niemało: postawiono kompleks szpitalny, na który z utęsknieniem czekali grajewiacy, szczególnie spragnieni widoku sali szpitalnej bez popękanych ścian i sufitów, widnej, przytulnej, dającej poczucie bezpieczeństwa, nie pozbawionej też najnowszych krzyków techniki, tych magicznych przycisków, zapewniających bezpośrednią łączność z pielęgniarkami, podłączeń do tlenu i innych środków ratunkowych. No i wreszcie jest! Stoi gmaszysko jak malowane, za te jedyne 130 milionów złotych, i wydaje się, że już za chwilę zawoła głośno: „Chorujcie bez obaw!”

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

LECH GIZELBACH

teraz będzie rządził nasz

Potrzebujemy waszej pomocy. Już od ponad dwu lat nie możemy wybrać nowego sołtysa. Tego, który jest, nikt we wsi, poza sekretarzem partii i naczelnikiem z Nowogrodu, nie popiera. Byliśmy kiedyś nawet z tą sprawą u Gierka i też nic. Tylko wy chyba możecie nam teraz pomóc”. Taką niecodzienną prośbę usłyszałem w siedzibie łomżyńskiego oddziału „Solidarność” od rolnika z Grądów Nowogrodzkich. Czasu było niewiele, gdyż zebranie wyborcze we wsi miało się odbyć jeszcze tego samego dnia.

W sali tamtejszej szkoły zastaje już dużą grupę rolników. Brakuje jedynie sołtysa. Nieobecny jest również sekretarz POP. Dlaczego — dowiaduję się z przebiegu zebrania, które prowadzi naczelnik.

Kiedy wchodzę, prosi właśnie o podanie kandydatur. Żadnych wahań nie ma. Niemal chórem zebrani wykrzykują nazwisko Zielińskiego. Zapowiadają się krótkie wybory. Zebrani wiedzą, o co im chodzi. Dla formalności jednak ktoś proponuje jeszcze jednego kandydata. Ale i tak 100 proc. głosów dostaje Jan Zieliński. Zaskakująca jednogłośnie, którą zebrani kwitują gromkimi oklaskami. Naczelnik odczytuje zakres praw i obowiązków sołtysa.

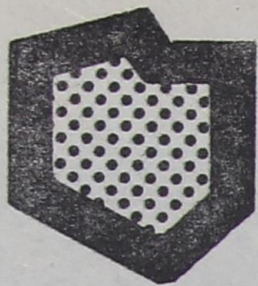
— Musi pan też wyrobić pieczęć — dodaje na koniec.

— To zbędne — macha ręką Zieliński — pieczęć zachowałem jeszcze tę starą. Wiedziałem, że mi się przyda. Ja wierzę w sprawiedliwość, choć często się ona spóźnia.

Mówiąc szczerze, to tak szybkie zadośćuczynienie tej sprawiedliwości zaskoczyło mnie. Po dramatycznej skardze rolnika spodziewałem się żartej walki, burzliwych rozliczeń, gromkich zarzutów. A tu pełna jednogłośnie, niemalże harmonia. Na dziwienie się jednak nie ma czasu, gdyż naczelnik przechodzi od razu do spraw bieżących.

— Jako gmina bierzemy około dwóch tysięcy ton zboża w postaci różnych produktów mącznych, a sprzedajemy tylko 200 ton. Wniosek z tego jest jeden: nie możemy się sami wyżywić.

CIĄG DALSZY NA STR. 6-7



NIEKORZYSTNE WYNIKI osiągnęliśmy w gospodarce 1980 roku. GUS ogłosił, że nastąpiło obniżenie, większe niż w 1979 r., dochodu narodowego oraz wydajności pracy; gorzej niż w którymkolwiek z poprzednich lat przekazywane były inwestycje; nadwyżka importu nad eksportem spowodowała dalszy wzrost zadłużenia kraju; w przemyśle, budownictwie oraz w rolnictwie nastąpił spadek produkcji. Znacznie wzrosły natomiast płace nominalne (o 12,8 proc.) i pogłębiły się dysproporcje między przychodami pieniężnymi ludności a zaopatrzeniem rynku. Wzrost cen spowodował wzrost kosztów utrzymania o około 10 proc.

OD 5 LUTEGO obowiązuje Uchwała Rady Ministrów regulująca tymczasowo sprawę świadczeń pieniężnych dla strajkujących pracowników upubliczniczonych zakładów. Pracownik nie otrzyma zapłaty w razie podjęcia strajku bez uchwały właściwego związku zawodowego, strajku wyrażającego poza cele statutowe i organizowanego bez zawiadomienia kierownika zakładu na co najmniej 7 dni wcześniej. Nieobecność w pracy będzie wówczas traktowana jako nieusprawiedliwiona.

PROF. NASIŁOWSKI o konieczności przebudowy struktury i stylu zarządzania (nr 6 „Życia Gospodarczego”) „Mamy świadomość, że sytuacja gospodarcza jest tak dramatyczna, że uzasadnione jest pytanie: jakie jest wyjście z sytuacji bez wyjścia? — Robić rzeczy niemożliwe, tzn. takie, które nie mieszczą się w ukształtowanym systemie filozoficzno-teoretycznym i ukształtowanych strukturach[...] Odnosi się takie wrażenie, że władza chce znaleźć wyjście bez istotnego naruszenia ukształtowanych struktur i bez zmiany stylu sprawowania władzy, a to jest niemożliwe”.



EGZEKUTYWA KW PZPR oceniła rozwój wojewódzkiej organizacji partyjnej w roku ubiegłym. Do partii przyjęto w tym okresie 1022 kandydatów. Prawie tyle samo członków i kandydatów opuściło szeregi partyjne, z czego 46 zostało wydalonych, a 217-u skreślono za brak aktywności. Obecnie wojewódzka organizacja partyjna liczy 25 tys. 457 członków i kandydatów. Jej trzonem są robotnicy i chłopci, którzy stanowią 58,4 proc. stanu partii.

W NOWO WYBUDOWANEJ Fabryce Domów w Łomży rozpoczęto rozruch pierwszej linii technologicznej. Jak informuje dyrekcja zakładu, pierwsze prefabrykaty będą gotowe już w lutym br. Po dojeździe do pełnej zdolności produkcyjnej fabryka będzie produkować elementy budowlane dla 2 tys. izb rocznie. Po zamontowaniu drugiej nitki technologicznej możliwe będzie podwojenie tej ilości.

PROKURATOR REJONOWY w Łomży skierował akt oskarżenia do miejscowego Sądu Wojewódzkiego przeciwko sześciu pracownikom Zakładu Mleczarskiego w Kolnie. Zarzuty dotyczą m.in. „zagarnięcia mleka w proszku wartości ponad 350 tys. zł, spowodowanie niedoboru surowców wartości prawie 1 mln zł”.

AUTOMOBILKLUB ŁOMŻYŃSKI, wspomagany przez liczne grono taksówkarzy zorganizował dla kilkudziesięcioosobowej grupy wychowanków Domu Dziecka w Łomży niedzielny „auto-kulig” w lesie Jedynowickim.

WYDZIAŁ PRACY Ideowo-Wychowawczej KW PZPR rozpoczął wydawanie serwisu informacyjnego, w którym zamieszczone będą informacje i opinie dotyczące życia

„ROZWÓJ PROCESÓW ODNOWY — stwierdził Zarząd Stowarzyszenia PAX ustosunkowując się do aktualnej sytuacji polityczno-gospodarczej kraju (nr 25 Słowa Powszechnego) — musimy dokonywać się z poszanowaniem zasad polskiej racji stanu. Polska racja stanu wymaga, aby rząd i nowe związki zawodowe przestrzegały ustaleń, do których się zobowiązały, podpisując porozumienia. Oznacza to, że odnowa w Polsce może dokonywać się tylko w ramach ustroju socjalistycznego, przy poszanowaniu przewodniej roli partii i systemu naszych sojuszy, co stanowi wyznaczniki suwerenności i bezpieczeństwa państwa”.

OD WRZEŚNIA ub. roku prowadzone jest śledztwo przeciwko Leszkowi Moczulskiemu oraz grupie związanych z nim osób, należących do tzw. Konfederacji Polski Niepodległej. Śledztwo dotyczy konkretnej, antypaństwowej i antypolskiej działalności KPN, godzącej w podstawowe interesy społeczeństwa.

„PRAGNIEMY STWIERDZIĆ, że region Mazowsze nigdy nie rozsyłał ankiet na temat opinii o kadrach kierowniczych zakładów pracy oraz że nie prowadzi kartotek takich kadr”. Zapewnia rzeczniczka prasowa NSZZ „Solidarność” Trybunę Ludu, (nr 31). Przyjawszy do wiadomości to zapewnienie Redakcja stwierdza: „Fakt, że ankiety przygotowano i powielano — udowodniłoby, to zaś, że MKZ ankiet przyjmować nie będzie — chętnie podajemy do wiadomości”.

WRACA DO NORMY życie w Bielsku Białym. Negocjacje między strajkującymi a rządem, dotyczące m.in. zarzutów przedstawionych przez MKZ „Solidarność” w stosunku do działalności organów administracji terenowej, zakończyły się podpisaniem porozumienia.

„TO CO DZIEJE SIĘ w związku z „Solidarnością wiejską” sprowadza się do jednego i spór tu idzie o jedno: czy wieś ma być terenem współpracy władzy ludowej z chłopami, z rolnikami, czy wieś ma być terenem walki politycznej z władzą ludową. Taka jest istota tego sporu”. — stwierdził m.in. Stanisław Kania na plenarnym posiedzeniu Komisji Zjazdowej.

politycznego, społecznego i gospodarczego województwa.

Z INICJATYWY TKZ NSZZ „Solidarność” Oddziału Łomżyńskiego odbyło się spotkanie przedstawicieli łomżyńskich zakładów pracy z do-

W RAMACH ROZSZERZENIA UPRAWNIENIÓK kolek rolniczych wyłączne prawo do decydowania o zmianach cen usług w granicach 20 procent przyznano przedstawicielom rolników, to jest radzie spółdzielni kolek rolniczych.

PARTIA OCZYSZCZA SIĘ. Od lipca ub. roku podstawowe organizacje partyjne wydały z szeregów partyjnych ponad 30 tys. osób, naruszających normy etyczno-moralne i statutowe.

PIOTR JAROSZEWICZ został wykluczony z szeregów PZPR. Ponosi on osobistą odpowiedzialność za błędy w krajowej polityce inwestycyjnej, zwiększanie długów zagranicznych, forsowanie niedojrzałej koncepcji zmiany cen w 1976 roku oraz za arbitralny styl kierowania, pochopne decyzje gospodarcze i kadrowe, ignorowanie opinii partyjnej i krytyki.

PO ZBADANIU zarzutów o nadużywanie stanowiska służbowego i czerpanie osobistych korzyści Zespół CKKP postanowił wykluczyć z PZPR również byłego ministra górnictwa Włodzimierza Lejczaka.

TRWAJĄ KONSULTACJE nad projektem zasad przedświadczeń niektórych artykułów trwałego użytku jak pralki automatyczne, maszyny do szycia, sprzęt rtv, a także maszyny rolnicze, sprzęt towarzyszący. Przedpłaty byłyby wnoszone w pełnej wysokości ceny detalicznej obowiązującej w danym dniu, a o kolejności decydowałaby data przedpłaty. Projekt przewiduje oprocentowanie wpłat.

POLSKI ZWIĄZEK KATOLICKO-SPOŁECZNY odbył pierwsze Walne Zebranie wybierając na Prezesa Związku Janusza Zabłockiego.

MIAŁO 10 LAT od podjęcia decyzji o odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie. Pierwszych kilkadziesiąt lat historycznych zostanie udostępnionych zwiedzającym w I półroczu br.

LEWE ETATY dla sportowców, krytykowane ostro przez załogi, pozwoli zlikwidować uchwałę Rady Ministrów w sprawie stypendiów dla ok. 5700 zawodników, uprawiających sport wyczynowy na najwyższym poziomie. Pieniądże na ten cel pochodzić będą z funduszu rozwoju kultury fizycznej i sportu.

radcą Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” Jackiem Kuroniem oraz członkiem Prezydium Regionu „Mazowsze” Maciejem Madejskim. Analizowano aktualną sytuację społeczno-polityczną.



BEZ PARDONU * BEZ PARDONU UWAGA, WYWIAD NA ZAMÓWIENIE! PROPOZYCJA DLA WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW.

Redakcja „Kontaktów” przygotowuje serię wywiadów z gospodarzami miast i gmin, dotyczących najważniejszych kwestii życia zbiorowego, jego organizacji, stosunków władza—obywatele, niedomagań i kłopotów codziennych oraz lokalnych odmiannych odnowy.

Cheśmy, by rozmowy te przebiegały pod dyktando Czytelników, wyrażając ich zaniepokojenia, ciekawości hierarchię spraw wartych publicznego omówienia. Tak pomyślane — mogą okazać się bezpardonowe (stąd ich nazwa). I dobrze, bo minął już czas wystudzonych zdań i pokornych słów.

Na początek — miasto wojewódzkie — Łomża. Czekamy pilnie na Wasze, Drodzy Czytelnicy, pytania (listy z pytaniami przesyłajcie pod adresem: „Kontakty”, ul. Sadowa 10, 18-400 Łomża z dopiskiem na kopercie „Bez pardonu”). Przedłożymy je władzom miasta podczas publicznej rozmowy, którą zorganizujemy pod koniec lutego br.

dwa tyki ekonomiki



zły początek

Ten rok nie zaczął się najlepiej. Początek dał fałstart z wolnymi sobotami. Okazało się, że będą to nie — jak pierwotnie informowano — 10 i 24 stycznia, a 3, 17 i 31 tego miesiąca. Już ta decyzja spowodowała wiele zamieszania. Jeżeli uważamy naszą gospodarkę za wyspecjalizowaną i dobrze zorganizowaną, to naprawdę trudno jest z dnia na dzień zmieniać jej rytm. Z wielu zakładów produkcyjnych napływały sygnały o trudnościach z odpowiednim zabezpieczeniem materiałowym i surowcowym.

Potem to już się zaczęło. Jedni pracowali, wielu nie. Jedni podpisali listy obecności, drudzy, uchylając się od tego obowiązku, manifestowali swe poparcie dla żądań „Solidarności”. Nie wnikam w racje; życie pokazało, iż były one podzielone. Myślę o ekonomicznych skutkach takiego, a nie innego przebiegu stycznia w produkcji. Są podstawy twierdzić, iż okazały się one oplakane. Nie był to miesiąc przyspieszenia, wyprowadzenia gospodarki z głębokiego kryzysu, lecz kolejny okres zamieszania i destabilizacji. Straciliśmy wszyscy.

Ustalony 31 stycznia pomiędzy rządem a przedstawicielami związków zawodowych, obowiązujący w najbliższej przyszłości, 42-godzinny tydzień pracy stał się taktem. Chciałbym na marginesie tej decyzji poczynić pewne uwagi.

Po pierwsze: psu na oude nie zda się najlepszy nawet ustalenie, jeżeli nie będzie szło za nim zagwarantowanie takiej organizacji pracy, która pozwoli w pełni wykorzystać czas. Chodzi nie tylko o to, żeby być obecnym w pracy, ale aby w przewidzianym czasie tworzyć nowe, użyteczne wartości. To nie zawsze zależy od pracownika. Jest również funkcja zabezpieczenia dostaw energii, paliw, surowców i materiałów, środków transportu.

I co by się nie powiedziało o potrzebie decentralizacji, o samodzielności przedsiębiorstw i rosnących uprawnieniach samorządów, prąd i paliwa trzeba przydzielić centralnie, a deficytowe surowce nie mogą być wydzierane metodą „uszczelki”, lecz gwarantowane bilansami centralnymi. Dopiero spełniwszy te warunki można myśleć o jak najlepszym wykorzystaniu skróconego czasu pracy, bez szturmowuszczyzny, bez godzin nadliczbowych, bez fikcji.

Po drugie: jest dużym nieporozumieniem stawianie spraw wolnych sobót w kategoriach gospodarki jako całości. Nie o wolne soboty chodzi, lecz o skracanie czasu pracy. Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, iż zawodów o ruchu ciągłym jest stosunkowo niewiele, jak energetyka, komunikacja czy służba zdrowia. Przy bliższej analizie okazuje się natomiast, iż służby użyteczności publicznej to wielomilionowa armia i „wolne soboty” trzeba traktować jako hasło, a przestrzegać ustalonych godzin pracy w czasie tygodnia. Nie wyobrażam sobie np. cywilizowanego społeczeństwa, w którym przez dwa dni (sobota-niedziela) nie funkcjonowałyby handel czy wybrane działy usług, np. poczta. Nie może być takiej sytuacji, że — powiedzmy — pracownicy poligrafii czy kolportażu nie pracowaliby i gazety nie ukazywałyby się w soboty. W tych sprawach musi obowiązywać realizm i nadrzędność potrzeb społecznych.

JERZY BIELECKI

polski dylemat

3
KONTAKTY
15 II 1981

Trwa nasza ogólnopolska ankieta: „Polski dylemat — nadzieje i wątplenia”. Wypowiadają się w niej politycy, twórcy, naukowcy i działacze gospodarczy, ukazując, przez pryzmat osobistej refleksji, najważniejsze problemy naszego kraju.

Zbigniew Zapasiewicz, aktor Teatru Dramatycznego w Warszawie.

prawo do protestu

Należę do pokolenia tzw. czterdziestolatków, którzy w sposób świadomy przeżywali wszystkie z powojennych okresów radykalizacji. Być może dlatego, że wychowywany byłem w atmosferze liberalizmu i tolerancji, zawsze w okresie młodości, udawało mi się zachować pewną dozę zbawionego sceptycyzmu. Teraz, jako człowiek dojrzały, sądzę, że wszelkie tego typu wstrząsy społeczne są czymś naturalnym w rozwoju społeczeństw. Uczy tego znajomość historii, literatury. Mnie uczy także, a może przede wszystkim, teatr. Pokazując przez swoją osobę wiele ludzkich postaw (które na ogół nie są moimi postawami), nauczyłem się rozumieć, że z punktu widzenia każdego człowieka jego postępowanie ma jakiś sens, że niewiele jest ludzi chcących z założenia postępować źle.

Po raz pierwszy podpisałem się pod pewną organizacją czy może raczej ruchem. Do tej pory, poza Stowarzyszeniem Aktorów i młodzieżowym pobylem w ZMP, nie należałem nigdzie, nawet do związków zawodowych. Teraz zaangażowałem się sądząc, że istniejąca w założeniach czyśćcość tego ruchu, przejrzystość jego intencji, pozwoli wypracować nam model godnej egzystencji w trudnej sytuacji społecznej, historycznej i geopolitycznej. Nie byłbym jednak sobą, gdybym nie potrzebował jednocześnie wykształcenia w sobie systemu oparcia się o pewien constans — stałą, nie związaną wyłącznie z określonym ruchem, formację społeczną. Zawsze, przez wszystkie dojrzałe lata, oparciem było mi to, co umiem robić i co zgadza się z moim światopoglądem. Dlatego też nigdy nie podpisywałem się pod działaczkami i instytucjami reprezentującymi zbyt jednoznaczny sposób działania. Nawet przy pełnym szacunku dla tego, co prezentuje sobą KOR, uznałem, że ważniejsze jest rozbicie — choćby nawet w skromniejszym wymiarze, ale za to otwarcie — tego, co uważam za słuszne, niż kontestowanie w formie zejścia do podziemia. Zadaniem ludzi kultury było i jest przeciwstawienie się wynaturzonemu

żądaniom mecenatu. Nawet w tych ramach, na jakie on zezwala, możliwe jest robienie rzeczy, które są w definitywnym konflikcie z każdym mecenatem. Kultura zawsze, z samej swej natury, była antypaństwowa. Molière pisząc kilka sztuk, w których chciał przypochlebić się królowi, mógł pozwolić sobie na to, by zaraz po nich uderzyć w monarchę „Świętoszkami”. Nie przeceniając doraźnej roli żadnej sztuki, jestem przekonany, że np. filmy „Barwy ochronnej” i „Bez znieczulenia”, w których miałem możliwość wziąć udział, były jednymi z miliardów kropel, które wsączają dozę świadomości w społeczeństwo.

Nigdy nie było takiej sytuacji, by dzieło artystyczne mogło spowodować przewrót. Myślenie o nim w sposób instrumentalny jest czymś paranoicznym. Należy zawsze zachować spokój, co nie oznacza jednak, że nie można być w kontrze do każdej ideologii, w jakiej się żyje. Absurdalny jest obraz takiego świata, w którym społeczeństwo nie potrafi zaprzeczać. Jeżeli więc mówię o nadziejach... Jedyną nadzieją aktora jest to, że być może w kraju, w którym mieszkam, będzie mógł mówić w sposób otwarty, głębszy, prawdziwszy, a przez to bardziej poetycki, humanistyczny.

Łatwo powiedzieć: dotąd nie powstało dzieło w sposób prawdziwy opisujące rok 1968. Powstało, ale nie ujrzało światła dziennego. Poza tym trudno pisać o czasach sobie współczesnych. Sztuka zawsze musi znaleźć perspektywę. Żeby zinterpretować to, co się dzieje, trzeba genialnego twórcy. Mieliliśmy takich dwóch, może trzech. Zresztą, Mickiewicz pisał „Dziady” też w kilka lat po powstaniu.

Jestem sceptykiem. Nigdy nie pozwalałem sobie na uleganie euforii. Teraz też nie. Nie wydarzyło się przecież, w sensie ogólnohistorycznym, nic takiego, czego by ludzkość nie знаła. Stała się rzecz normalna. Co nie oznacza, że nie wspaniała. Przeżywając ją, trzeba jednak natychmiast zdobyć się na trzeźwą ocenę.

Włodzimierz Michaluk, sekretarz KW PZPR w Łomży

przezwyciężyć złe nawyki

Spółeczny i gospodarczy rozwój Ojczyzny zawsze w dużym stopniu wiązałem z rolą i autorytetem przywódcy narodu. Z pewnym więc zwątpieniem odebrałem oświadczenie Stanisława Kani na VI Plenum KC PZPR: „Funkcja nie czyni z człowieka przywódcę. Ja nie jestem zresztą taki pewien, że partii naszej potrzebne jest to, co kryje się pod pojęciem »przywódca«”. Faktem jest, że dotychczasowi nasi przywódcy — mimo swoich niepodważalnych zasług — nie do końca sprawdzili się. Konsekwencją tego jest również fakt, że w kraju naszym cyklicznie powtarzają się okresy rozwoju i poważnych zakłóceń społeczno-gospodarczych. Te ostatnie prowadzą do zmiany przywódców. Sądzę jednak, że wina leży nie tylko po stronie ludzi, którym powierzono kierowanie społeczeństwem.

Ale czy można aktywnie pracować i świadomie dążyć do określonego celu bez wiary w kogoś lub coś, co uwierzytelniałoby jego osiągnięcie? Uważam, że nie. Powstaje więc pytanie: kto lub co tę rolę może spełnić? Odpowiedź znajdujemy w materiałach ostatnich dwóch plenarnych posiedzeń KC PZPR: partialną mądrość naszego społeczeństwa. Nie nastąpi to jednak samoczynnie. W ramach koniecznej odnowy wiele trzeba usprawnić również w działalności wewnątrzpartyjnej, we współdziałaniu partii z sojusznikami stronnictwa politycznymi oraz w jej oddziaływaniu na społeczeństwo. Punktem wyjścia powinno być konsekwentne przestrzeganie leninowskiej zasady, że partia, będąc trzonem systemu politycznego społeczeństwa, nie może zastępować organów administracji państwowej. Jednym z istotnych warunków przestrzegania tej zasady są odpowiednio dobrane i przygotowane kadry. Partia nasza, w konsultacji ze społeczeństwem, powinna być zdolna do wyznaczania słusznych — ze społecznego punktu widzenia — celów strategicznych, gruntownej ich motywacji i konsekwentnego czuwania nad realizacją. Stąd codzienną zasadą naszej działalności powinna być jedność teorii i praktyki, zgodność czynów ze słowami twórczy niepokój o kompleksowe rozwiązywanie problemów. Obecnie nam musi być samozadolenie. Z warunkiem praktycznego wdrażania w życie tej zasady wiąże nadzieję, że partia potrafi wyprowadzić kraj z obecnego kryzysu i spełni rolę wiarogodnego przywódcy w społeczeństwie. Na pewno nie obejdzie się bez odpowiedniej weryfikacji działaczy aparatu partyjnego. Ideałem byłby system zapewniający sa-

moweryfikację i odchodzenie ze stanowisk w odpowiednich momentach. W tym m.in. przedmiocie duże nadzieje pokładam w IX nadzwyczajnym Zjeździe PZPR.

Oczywiście, pilną potrzebę doskonalenia pracy widzę także i w naszej wojewódzkiej instancji partyjnej, szczególnie zaś w rolnictwie i gospodarce żywnościowej. Dotychczas naszą słabością było zbyt drobniawskie wnikanie w problemy, ze szkodą dla kompleksowej strategii. Powodowało to zbyt częste ingerowanie w kompetencje wojewody i różnych jednostek wojewódzkich. Ta drobniawskość z naszej strony niejako automatycznie hamowała inicjatywę instancji administracyjno-gospodarczych i zdejmowała z nich odpowiedzialność. Obecnie zaczynamy od tej praktyki odchodzić. Nie może się to jednak odbywać bez trudności, gdyż tradycjonalizm ciąży. I to nie tylko na działaczach partyjnych. Dlatego bardzo ważną sprawą jest jasne określenie celów i kierunków działania. Wspólnie z kierownictwem Wojewódzkiego Komitetu Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego za najważniejsze zadania uznajemy:

— wewnętrzne umacnianie naszych organizacji terenowych i instancji gminnych oraz uczenie ich sztuki pozytywnego oddziaływania na środowisko;

— tworzenie społeczno-organizacyjnych warunków do rzeczywistego odradzania się samorządności rolników i spółdzielczości wiejskiej;

— trafne, zgodne z naszymi możliwościami i potrzebami, wyznaczenie kierunków rozwoju łomżyńskiego rolnictwa i gospodarki żywnościowej.

Wszelkie partyjno-organizacyjne działania powinny wspierać skuteczną realizację programu rozwoju naszego rolnictwa. Koniecznym warunkiem tego musi być także aktywny udział rolników — producentów, instancji obsługujących wieś i przemysłu przetwórczego. Są to nadzieje ograniczone do naszego województwa, ale swój kraj kocha się przecież także tylko wtedy, gdy kocha się miejsce, w którym się żyje. Z problemami naszego województwa wiąże się także i moje zwątpienie. Najbardziej trapi mnie sporo narzekania na styl pracy wielu jednostek administracji terenowej i naszych instytucji obsługujących rolnictwo, a zwłaszcza w sferze, którą bym nazwał: „nic o rolniku bez rolnika, bez jego samorządu, zaczynającego pełnić funkcje związku zawodowego”. Styl ten trzeba konsekwentnie zmieniać. Do udziału w tym procesie zachęcam również naszą prasę lokalną.

Marek Rymuszko, dziennikarz

sztandar

Są zdarzenia, które poddane retuszu historii — nie będą znaczyć to, co znaczą. Są słowa z ich zawilgą symboliką, nie potrafiące oddać prawd najprostszyc, dla których brakuje odpowiedników w języku politycznych zwrotów. Miałem pisać jeszcze jeden esej z powikłaniami, chciałbym odwołać się do wiersza mojego przyjaciela, Jerzego Tomaszewicza, „Ręce ojca”. Wiersz ten długo nie mógł przebić się do czytelnika. Ostatecznie ujrzał światło dzienne w tomiku poetyckim autora — „Gorzki obłok”, wydanym nakładem Instytutu Wydawniczego „PAX” w 1978 r.

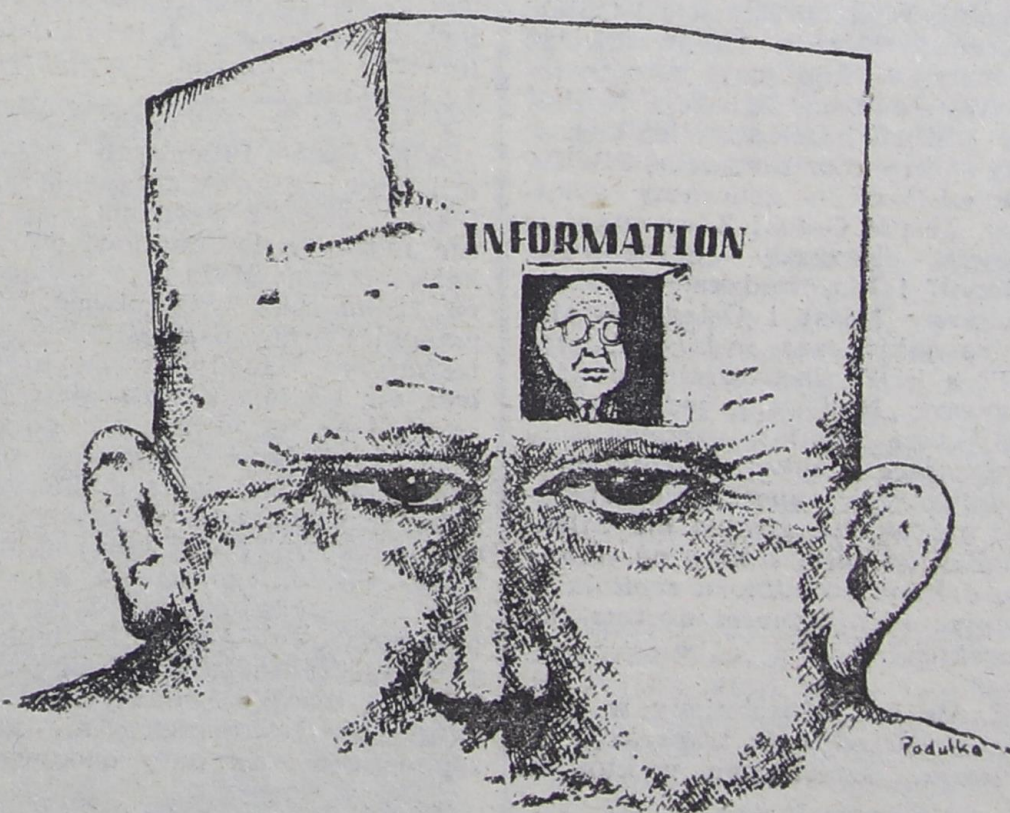
Oto on:
w dzień ogólnego jubileuszu
zmęczony ojciec

przyniósł do domu
szron na skroniach
ręce czyste
puste

krocząc przez kraj kantu
tandety
i chamstwa
obłędu bliski —
rzetelny i prawy
przyniósł swoje ręce
jako niemy wyrzut

gdy brak wam jeszcze sztandaru
pomysłcie o rękach mojego ojca

Polski dylemat nadziei i wątplenia jest dramatem czystych i pustych rąk, które oby już nigdy nie musiały stać się sztandarem przemian naszego czasu.



Rysunek Andrzeja Podulki

nadzieje i wątplenia

punkt widzenia



mury stoją -

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Nie zawoła. W każdym razie nie tak szybko, jak się spodziewaliśmy, czytając na przykład optymistyczną zapowiedź, że „całkowite zakończenie prac wykończeniowych i oddanie szpitala ustalono na dzień 10 stycznia 1981 r.”, lub nieco wcześniejszą informację: „Termin umowny zakończenia budowy szpitala w Grajewie minął 30 czerwca 1980 r. W trakcie odbioru obiektu, liczącego około 1200 różnych pomieszczeń, ustalono około 2000 usterek. Są one w trakcie usuwania i szacuje się, że do końca listopada 1980 r. zostaną w pełni usunięte”. Ryszard Łukaszewicz z PBOUP „Budopol-Pisz”, odpowiadając na jedną z publikacji w sprawie szpitala, napisał m. in.: „przepraszamy wszystkich uczestników procesu inwestycyjnego za powstałe opóźnienia, których przyczyny leżą nie tylko po stronie naszego przedsiębiorstwa — niemniej obciążają nas jako generalnego wykonawcę”.

Publiczne przeprosiny to odruch ludzki i chwalebny. Tylko czy, zamiast „uczestnikom procesu”, nie należą się one raczej komu innemu, na przykład społeczeństwu? A przynajmniej tej jego części, o której w październiku 1980 r. „Solidarność” przy ZOZ w Grajewie pisała: „Uważamy za bardzo pilne oddanie do użytku w terminie jak najkrótszym nowego szpitala z pełnym wyposażeniem w aparaturę i narzędzia medyczne. W dotychczasowych warunkach pracownicy służby zdrowia nie są w stanie fizycznym i psychicznym wypełniać swoich obowiązków na rzecz chorych. Z racji ciągłego przesuwanych terminów oddania szpitala do użytku, obiekty starego szpitala nie są remontowane. Powołujemy się na decyzję Inspektora Pracy z grudnia 1978 r. o zamknięciu dotychczas funkcjonującego szpitala z uwagi na zagrożenie budowlane, instalacji elektrycznej i warunków bhp. Istniejące zagrożenie może skończyć się katastrofą dla wszystkich przebywających w pomieszczeniach starego szpitala. Nadmieniamy, że nie widzimy realnego terminu oddania szpitala do użytku, co dokumentujemy obserwacją i stanem finalizacji budowy”.

„Solidarność” drżała przed katastrofą, a w teczce przybywały coraz to nowsze — kolejno z 9 stycznia, 10 lipca, 29 września 1980 r. — protokoły o dno wy odebrania i przekazania obiektu do użytku.

Targowali się o ten szpital od ponad roku: Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego w Łomży, występujący jako inwestor, Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Łomży — inwestor zastępczy, PBOUP „Budopol-Pisz” — generalny wykonawca, Zespół Opieki Zdrowotnej w Grajewie — przyszły użytkownik. „Budopol” i Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich co jakiś czas wołały: „Gotowe!”, a ZOZ niestrudzenie powtarzał swoje: „Nie!”, śląc jednocześnie pismo, które głosiło: „otrzymaliśmy uzupełniające wykazy nieotrzymanego dotychczas wyposażenia i sprzętu [...] ale wykaz sprawy nie załatwia i dlatego dalej stoimy na stanowisku dokonania odbioru szpitala w momencie kompletności dostaw inwestorskich”.

ZOZ nie był odosobniony w nieufności do przedmiotu transakcji, tj. kompleksu szpitalnego, w którym

będzie mogło się kurować jednocześnie 272 chorych, a krzątać koło nich — 260 osób personelu. Sojusznika zdobyło m.in. w osobie inspektora pracy Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Służby Zdrowia, który po jednej z ostatnich lustracji stwierdził m.in. wadliwość lokalizacji fotometrii płomieniowej (bezpośrednio pod pokojem pielęgniarki oddziałowej), brak odpornej i nieiskrzącej posadzki w budynku tlenowni i magazynie materiałów łatwopalnych, liczne przecieki z dachu w pomieszczeniach agregatorów.

Ale co tam jakiś inspektor! Dyrektor Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich był w stanie raz dwa zdementować zarzuty: „wykonanie ognioszczelnej armatury instalacji elektrycznej w

nich parametrach? Bóg jeden wie! Ludzie zaś wiedzieli tylko tyle, że uzyskana w czasie największych mrozów temperatura 6—15 stopni jest dla szpitala za niska.

Wiedzieli, a jednocześnie tak bardzo chcieli mieć za sobą to symboliczne przecięcie wstęgi! Tak bardzo, że w dniu, kiedy na naradzie zebrali się wszyscy potencjalni winowajcy i dokonywano wizji lokalnej, padło stwierdzenie, że: „w węzłach ciepłych budynków Spółdzielni Mieszkaniowej w Grajewie zawory bezpieczeństwa są umyślnie (podkreślenie N. O.) unieruchomione i nie ma prawidłowego działania”.

W okresie tych wszystkich spięć, chandryczenia się o sprawy ważne i szczególne, postawa kierownictwa ZOZ-u mogła zaimponować. Przede wszystkim jego upór, nieaprobowanie warunków kompromisu („Podpi-

WDRMiOW, że protokołem z dnia 20 listopada 1980 r. został odebrany końcowo szpital rejonowy w Grajewie. Jesteśmy tą informacją zaskoczeni. [...] ZOZ w Grajewie nie podpisał jak dotychczas protokołu odbioru końcowego i nie bardzo rozumiemy, skąd się takowy mógł znaleźć?”

Mógł znaleźć się po prostu stąd, że WDRMiOW odebrała wówczas obiekt od wykonawcy bez udziału użytkownika. Teraz więc „ZOZ jest zobowiązany dotrzymać terminu oddania szpitala do eksploatacji z dniem 20 marca 1981 r.”. I niech staję na rękach, żeby ten cel osiągnąć. Wojewódzka Dyrekcja RMiOW może bowiem dać sobie głowę uciąć lub pozwolić zabrać stołki, jeśli ktoś kompetentny będzie w stanie stwierdzić, że obiekt nie jest jednak gotów do pełnienia swych chlubnych funkcji. Mury stoją? Stoją. Okna i drzwi wmontowano? Wmontowano. Światło jest? Jest. Łóżka są. Jasne. A że na przykład zawartość azotanów w wodzie oscyluje w nieprzyzwolonych granicach 10—20 miligramów na litr wody, gdy norma dla niemowląt i małych dzieci dopuszcza tylko 10 miligramów, to drobiazg? Że wody może być w ogóle przymało? Że oczyszczalnia ścieków nie nadąży z robotą? Wszystkie sukcesywnie, pomalutku się załatwi. Teraz trzeba szybko odebrać szpital, bo premie uciekną!

Wszyscy mieli w pewnym momencie dość: inwestorzy, bo chcieli wreszcie rozliczyć się z powierzonych środków, pozamykać bilanse, napisać sprawozdanie, załapać uciekające sprzed nosa premie, budowlani — aby móc się wreszcie zabrać za inną, zaplanowaną budowę. Ileż razy można naprawiać coś, co się już zrobiło? Trudniejsze to niż budowanie na nowo, i bardziej niewdzięczne, i gorzej płatne. Podczas gdy gdzieś indziej czekała już następna budowa, któregoś aż się rwali! Cóż dziwnego, że też chcieli przekabacić ZOZ? Podczas ostatniej mojej wizyty w nowym szpitalu (nie zapowiedzianej rozmowy z zastępcą dyrektora ZOZ Buzonem, przerwały nawoływania szefostwa budowy: — Dyrektorze, prosimy na zakąskę!

2. O MONSTRUALNYCH KRATACH

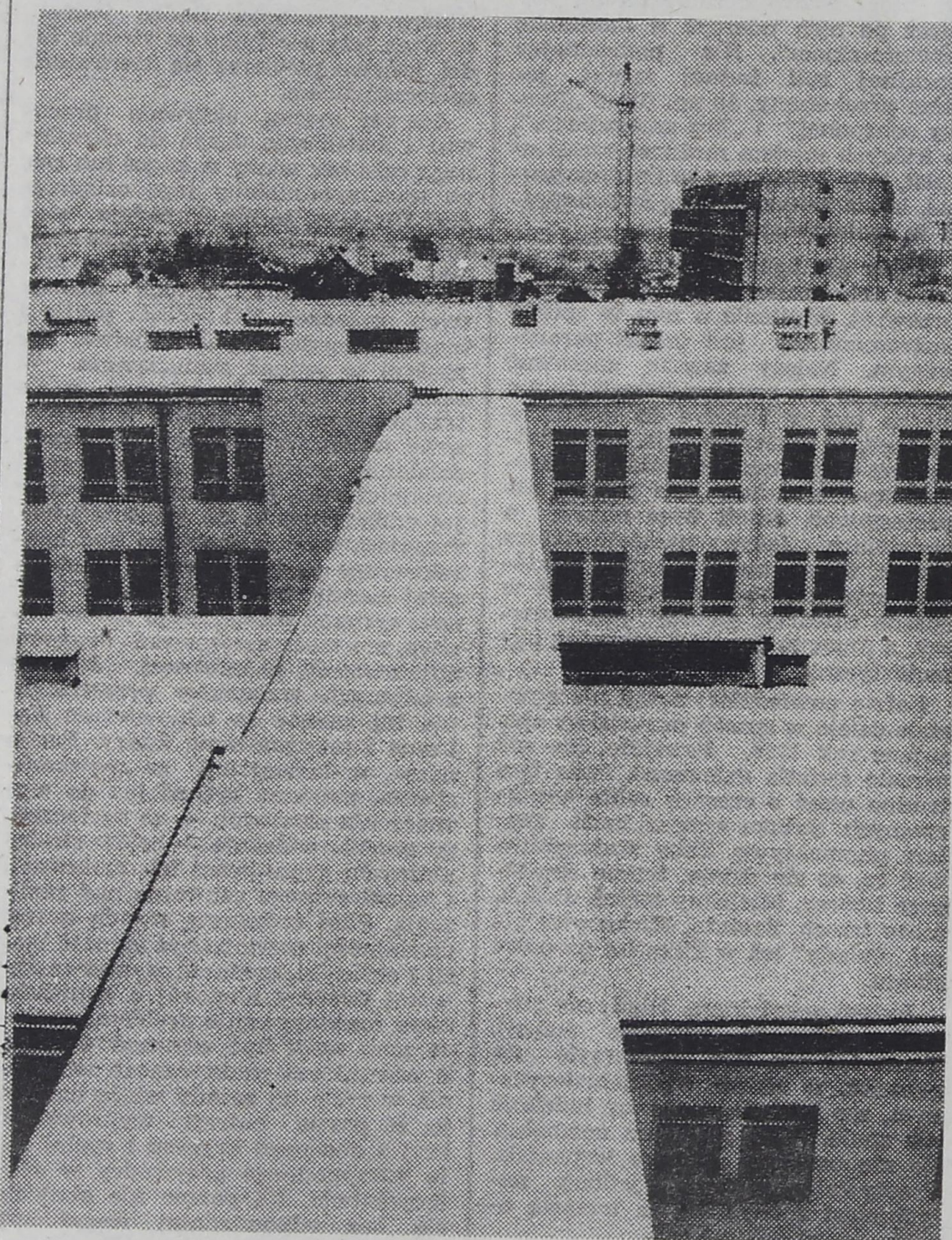
Skończy się zabawa w podchody. Na specjalnej tacy ktoś usłużny położy parę noży, przyczepi białoczerwona wstęgę, może nawet pojawi się orkiestra dęta. Dokona się wreszcie uroczystego otwarcia obiektu. W obecności władz, kierownictwa budowy, inwestora itp. A z tyłu, za nimi, czekając na swój moment, stanieni... prokurator. Wejście wraz z innymi do środka, obejrzę, a gdy już wszyscy zaczną sobie składać gratulacje, ten, wywołując powszechną konsternację, poprosi o dokumentację, kosztorysy, harmonogram budowy i rzuci w przestrzeń zawołanie: „A teraz rozliczmy wszystkich, którzy maczali palce w tej budowie. Dla spokoju sumienia, dla jasności sprawy, dla potomnych, by mogli nauczyć się czegoś na naszych błędach”.

Tak mniej więcej może wyglądać przesłuchanie:

— Z czyjej winy okres budowy został znacznie przedłużony?

— Dlaczego inwestor nie dostał na czas sprzętu, a część dostarczona wcześniej została zmarnowana, rozłożona na placu, bez odpowiedniego zabezpieczenia?

— Kto jest odpowiedzialny za to, że przez tak długi okres pacjenci muszą przebywać w starym, groźnym nieszczęściem szpitalu, gdy obok



pomieszczeniach fotometrii wymagałoby zmiany całej instalacji, co nie jest uzasadnione [...], lokalizacja fotometrii jest zgodna z projektem...”. I targowano się dalej.

A było o co. Prócz tych i całej armii innych usterek objawiała się też taka, która przeważała pozostałe: nie można było, mianowicie, tego kolosa ogrzać. Mało tego — choć już od ponad roku wykonawca co rusz ponawiał próby uszczelnienia społeczeństwa i medyków swym dziełem, nie udało mu się znaleźć przyczyny tego najpoważniejszego mankamentu. Może sknocilo robotę przedsiębiorstwo instalacyjne, zakopując w ziemi rury o nieodpowiednim przekroju? Może winni są mieszkańcy sąsiedniego osiedla, korzystający z tej samej ciepłowni, ponieważ pobierają o wiele za dużo ciepła niż powinni? Może też zawinił projektanci albo Wojewódzki Zakład Energetyki Ciepłej, który nie potrafi zapewnić dostaw pary o odpowied-

ście kochani, a my przysięgamy, że później nadrobimy, naprawimy, dowieziemy”). Lecz ile czasu mogło w tym wytrwać? Złamanie opornych nie jest w końcu tak trudne, gdy chodzi ponadto o ludzi zmęczonych ową potrzebą czujności, rozdartych wewnętrznymi wątpliwościami. Z jednej strony wizja katastrofy w starym szpitalu i poczucie odpowiedzialności za zagrożenie, z drugiej — 1200 pięknych pomieszczeń nowego szpitala i też poczucie odpowiedzialności, tyle że za przyszłe zagrożenie. Kto w tej sytuacji był w stanie orzec, czy nie nadto wybrzydzać i stawiać wymagania, które innych bulwersują, ponieważ chcą otrzymać obiekt taki, jaki sobie przez te długie siedem lat wymarzyli: nie stwarzający dla nikogo zagrożenia i wyposażony w sprzęt medyczny.

Tymczasem naciskały wszystkie strony, łącznie z inwestorską: „Zostaliśmy poinformowani przez

penetracje



premie są

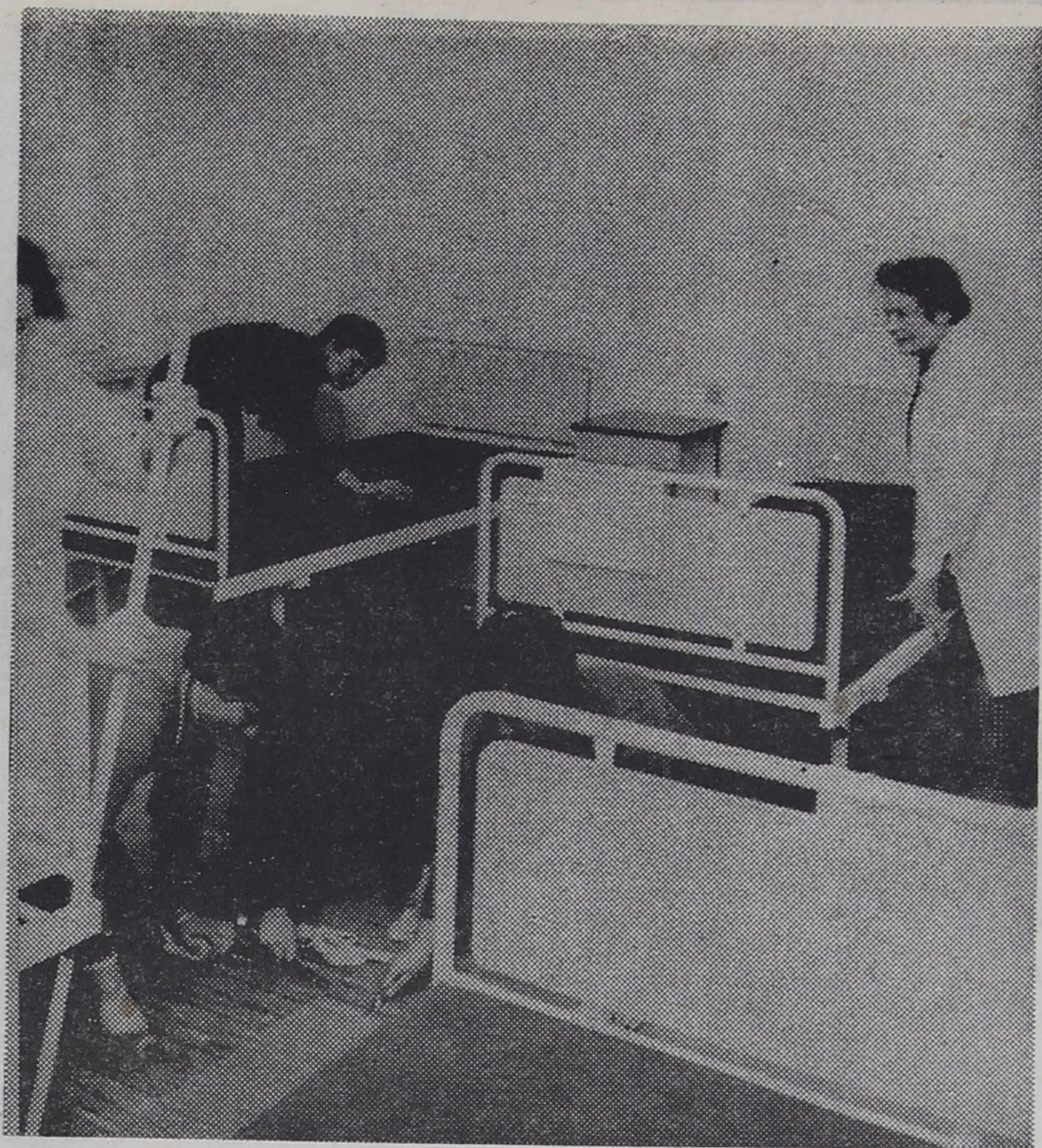
stoi bez liku pustych pomieszczeń szpitalnych?

Setki coraz to innych osób składają wyjaśnienia. Budowlani wskazują firmy podwykonawcze, producentów materiałów budowlanych, sprzętu; usprawiedliwiają się brakiem fachowców, zastępowanych przez chłoporobotników, którzy do pracy w budownictwie przychodzą na zimę, a w pozostałych porach roku chcą tylko orać, siał i zbierać. Inwestor rzuca gromy na nierzetelność dostaw urządzeń, na limity, rozdzielniki. No tak. Ale o co ten cały rwetes? Przecież z punktu widzenia prawa żadnego przestępstwa nie ma.

Co innego, gdyby, na przykład (odpukać!), któregoś dnia — przed otwarciem nowego — stary szpital runął niespodziewanie i przygłodził na amen te parę osób. Wówczas byłaby już podstawa do sformułowania zarzutu: kto winien? Czy lekarze, którzy nie mieli serca, by powiedzieć: „Dość! i nie wysłali precz pacjentów ze starego szpitala, zamiast ratować im w tych warunkach zdrowie, a jednocześnie je narażać? A może skierować ostrze zarzutu pod adresem realizatorów inwestycji, którzy zrobili przecież niemało, by okres tego zagrożenia przedłużyć? Obciążyc ich, tym bardziej że nie był to wcale obiekt o awangardowej konstrukcji, tylko tzw. typówka. Przy okazji: warto byłoby też rozliczyć i pomysłodawców koncepcji typizacji takich obiektów. Jak dowodzi praktyka, budowle te nie są ani tańsze, ani szybciej realizowane, ani bliższe ideałom, jeśli chodzi o funkcjonalność rozwiązań. Oto drobny na pozór szczegół — rozmieszczenie drzwi w separatkach, gdzie — jak wiadomo — leżą chorzy w najcięższych stanach. Wyobraźmy sobie, że któryś wzywa nagle pomocy dzwonkiem. Przybiega pielęgniarzka i stwierdza, że trzeba go natychmiast przetransportować do sali zabiegowej. Łapie więc za łóżko na kółkach, ale... nie wywiezie! Chyba że zwali pacjenta na podłogę i obróci je na bok. Tylko po co jej łóżko bez pacjenta?

Ponieważ jednak nie nikomu na głowę nie spadło, nie bardzo wiadomo, w jakich kategoriach rozpatrywać problem i jeśli nie prawnych, to może etyczno-moralnych? W przypadku napadu, włamania, kradzieży, kryteria są przejrzyste. Natomiast co skradziono tu? Trochę ludzkiego zdrowia, optymizmu społecznego, wiary w rzetelność i dobrą wolę wykonawców. Lecz ile tego skradziono — kilogram, dwa?

Taki proces byłby na pewno precedensem. Pomijając problem ze zdobyciem monstrualnych kradzieży, mógłby przynieść jeden efekt: dałby wreszcie rzetelny, pełny obraz całości cyklu inwestycyjnego. Inaczej, pisanie na temat spóźnionych inwestycji będzie nadal tyleż niewdzięczne, co i bezcelowe, uprawiane chyba tylko ku rozbawieniu opinii publicznej. Bo co nowego można wymyślić, prócz apeli o dostawy, o przyspieszenie tempa? Efekt będzie taki, że przy kolejnej budowie rekordy wydłużenia cyklu inwestycyjnego znów zostaną pobite.



Próbowano w przeszłości zaradzić temu różnymi priorytetami, superpriorytetami, uchwałami. I nic. Czyżby więc wszyscy budowlani byli tylko bandą łapserdaków bez czci i wiary? Nie uwierzy w to nikt, kto choć raz uświadomił sobie ich trud i warunki pracy. Zadra inwestycyjna tkwi gdzie indziej. Należy przypuszczać, że raczej w samej organizacji procesu inwestycyjnego, podziale kompetencji i zakresu odpowiedzialności pomiędzy jego uczestnikami, w nierealności harmonogramów prac, w braku systemu konsekwentnego rozliczania winnych opóźnień.

Nie jest to przecież tylko problem szpitala w Grajewie. Dotyczy większości (jeśli nie wszystkich) prowadzonych inwestycji. Kto powinien podjąć się jego rozwikłania? Resort budownictwa, administracja, NIK, prokuratura czy może jednostki typu Naczelna Organizacja Techniczna, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwa? Organizacje ambitne, zrzeszające w większości zapalonych społeczników, a do tego specjalistów wielkiej klasy i najróżniejszego kalibru, mające w założeniach programowych m.in. i fachowe doradztwo, i opiniowanie, i pomoc w rozwiązywaniu węzłów społeczno-gospodarczych. Dzierżą oni przecież w rękach podstawowe atuty: fachowość i upoważnienie do występowania z pozycji kontrolerów społecznych. Czy to mało, by móc zaimponować w rozgrywce?

Zresztą rzecz chyba nie tylko w przeciwdziałaniu nadmiernemu rozciąganiu cykli poszczególnych inwe-

stycji jak gumy do żucia. Także w tym, iż traktuje się je w oderwaniu od całego kompleksu spraw dotyczących zagospodarowania przestrzennego aglomeracji. Czy trudno byłoby znaleźć przekonujące dowody na to, że urbanizacja naszych miast i regionów ma wiele lub niewiele wspólnego z planowaniem? W dotychczasowej praktyce akceptowana była raczej zasada chwytania losu za nogę. Jest szansa wpełnienia inwestycji do planu, to korzysta się z uśmiechu fortuny nie oglądając się na nic. Byle zacząć, byle uzyskać ogólną zgodę i wejść na plac. Bez przygotowania dokumentacji, bez uprzedniego uzbrojenia terenu. Jeśli dana branża uzyskała środki, to gonila naprzód niczym maratończyk, nie obejrzaawszy się nawet na pozostałe, wlokące się w żółwym tempie. Efekt jest taki, że oto wybudowano nowiutką oczyszczalnię ścieków, która w momencie rozruchu okazała się o wiele za małą; wybudowano mleczarnię, zapominając o oczyszczalni dla niej; stoją domy mieszkalne, które czekają latami na podłączenie do ciepłowni, wodociągów, sieci elektrycznej.

3. REALIA

Dnia 21 stycznia br. grajewski ZOZ także podpisał protokół odbioru obiektu. Uzupełniły go zastrzeżenia dotyczące m.in. ogrzewania szpitala, azotanów w wodzie, instalacji klimatyzacyjnej, dostaw kompletu aparatury i sprzętu medycznego. Przecięcie wstęgi, otwierającej drzwi pacjentom, ma nastąpić 21 maja 1981 r.

NINA OMELCZENKO
Fot. GABOR LÖRINCZY



spiećcia



5
KONTAKTY
15 II 1981

Przez z górą pięć lat można przywyknąć i polubić każde środowisko — z wzajemnością. Nic dziwnego, że I sekretarz KW PZPR w Suwałkach czuł się tam dobrze, czemu wielokrotnie dawał wyraz w publikacjach. Niedawno przyjął propozycję objęcia KW w Olsztynie. Dziennikarzowi miejscowego dziennika powiedział: „Nareszcie w domu”. Widocznie wraz z wiekiem proces adaptacji w przypadku działaczy przebiega szybciej.

Uwaga, dziewczyny! Zamiast szlifować miejscowe bruki w poszukiwaniu namiętnych amantów — udajcie się niezwłocznie do wsi Pniewo, Krzewo i Rakowo, gdzie czekają na was chłopcy malowani. Radzimy się spieszyć, bo czas to pieniądz, a pieniądz chłopców płynie jak woda. Bez Was, dziewczyny. Z nudów.

W łomżyńskim „Polmozbycie” pracuje na zmianie dwóch kierowników, za to jeden tylko człowiek przyjmuje w dziale obsługi klientów, więc oczekiwanie na rejestrację usługi trwa czasami 3-4 godziny. Czas ten nadrabiają mechanicy. Czas długą litanię czynności w ramach przeglądu gwarancyjnego wykonują w pół godziny! Klienci twierdzą, że pół godziny nie wystarczy na pobicie nawet „smarowanie” samochodu. Wystarczyłoby jedynie na „posmarowanie” ręki mechanika, lecz „Polmozbyst” nie wpuszcza za bramę klientów — w obawie, aby ci nie podpatrzyli tajników błyskawicznych przeglądów.

P. S. Bezpłatny przegląd gwarancyjny fiata 125p kosztuje 777 złotych. Bezpłatne usługi w ramach gwarancji wg stawek cennikowych: regulacja gaźnika — 47 złotych, regulacja zapłonu — 74 złote, wlanie jednego kilograma płynu „Borygo” — 85 złotych (30 złotych kosztuje sam płyn) itp. To ja się pytam uprzejmie, kto tu, komu i co gwarantuje?

Gmina Perlejewo zawsze miała atrakcyjne władze. Jeden z poprzednich naczelników zbudował drogę do Pelek, bo tam mieszkał, drugi założył w swojej wsi neonówki, przez co dowiódł, że ceni ją wyżej niż siedzibę gminy. Ostatni zachorował. Nie, nie sam. Jego śladem poszli: sekretarz KG, księgowy i kierownik służby rolnej. Wachlarz ekscentryczności gminnej ma wiele zakładek!

Właściciel punktu skupu butelek przy ul. Armii Czerwonej w Łomży postanowił, że nikt nie przejedzie „jego” drogą na zaplecze pawilonów ABC, zanim nie uzyska na to sądowej zgody. Jak postanowił, tak zrobił. Zastawił drogę nyską, a natętom pokazuje zgęte przedramię. Pozazdrościć konsekwencji: oto jeden z nielicznych, którzy wiedzą, czego chcą.

Dotychczas wojewoda łomżyński nie debiutował w „Spiećciach”. Żył sobie spokojnie, nikomu nie wadził, starannie redagował pisma, czytał różne Dni, a szczególnie Dzień Strazaka... Skąd zatem ta niechęć do dziennikarza i pożałowanie mu miejsca w samochodzie? Widocznie — w odróżnieniu od miłości — nie ma platonicznych niechęci.

Pozdrawiamy sympatyczną i zgodną wieś Kossaki Naddzielne (w gminie Rutki), które od sześciu lat są wierne jednemu sołtysowi. Przy okazji informujemy, że nagrodę „Spieć” za styczeń br. otrzymał sympatyk tej wsi, od którego otrzymaliśmy o niej te wszystkie — wielce atrakcyjne — informacje (nazwisko znane redakcji). Zapraszamy do nadsyłania dalszych sygnałów wszystkich dotychczasowych i przyszłych obserwatorów wojewódzkiego życia. Zwycięzcy gratulujemy, pozostałym — życzymy sukcesu.

teraz będzie rządził nasz



DOKOŃCZENIE ZE STRONY 1

— Panie naczelniku, coś to nie tak — przerywa wywód zdenerwowana kobieta — niech pan policzy mięso, które oddajemy, to pan zobaczy, ile produkujemy.

— A przecież mleko też oddajemy — dorzuca ktoś inny.

Rachunek z mięsem wygląda zaś tak: gmina sprzedaje ponad 1100 ton, a otrzymuje, w różnej postaci, 50 ton. Na styczeń przydzielono jej 500 kilogramów wędlin i 600 kilogramów mięsa.

— Widzi więc pan, panie naczelniku — kontynuuje kobieta — sami byśmy sobie jakoś poradziła. Po co to próżne gadanie? Możemy też jeszcze zwiększyć dostawy do skupu, ale potraktujcie nas wreszcie jak ludzi. Bo do tej pory zbyt często macie więcej szacunku dla naszych świń niż dla nas. I o niczym innym z nami nie chcecie gadać, tylko o podnoszeniu produkcji czy wydajności. Ale zróbcie coś i wy, żeby ta produkcja poszła w górę. Samo odwoływanie się do naszego sumienia nic tu nie pomoże.

— A dlaczego zebranie to zostało przeprowadzone we właściwy sposób dopiero teraz, z dwuletnim opóźnieniem? — zadaje pytanie młody rolnik. — Przez ten czas wieś dostała po tyłku. Każdy z tu obecnych to potwierdzi. Weźmy choćby odszkodowania za wymokłe ziemniaki. Większość z nas musiała odwoływać się, przeważnie bezskutecznie, aż do Prokuratury Wojewódzkiej, żeby je dostać. Niech podniosą ręce ci, co czują się pokrzywdzeni, gdyż nie dostali żadnego odszkodowania.

W górę unosi się kilkanaście dłoni.

— Odpowiedzmy teraz, dlaczego? Ano, przede wszystkim dlatego, że naczelnik z uporem trzymał na stanowisku sołtysa, człowieka zupełnie nie nadającego się na to stanowisko. Jankowski nie dbał kompletnie o wieś. Przez ten czas wieś sołtysowania nabił sobie kabzę, sprowadził sprzęt, nabrał odszkodowań. Innych miał gdzieś. Tak było?

I znowu odpowiedź jest jednomyślna.

— Dziś sołtysem został ten, kogo wybraliśmy już dwa lata temu. O, proszę bardzo, tu mamy na to pismo: 43 osoby podpisały, że w dniu 12 stycznia 1979 roku oddały swe głosy na Jana Zielińskiego. A jednak zdecydowaliście, po naradzeniu się z sekretarzem POP, że sołtysem zostanie nie Zieliński, a Jankowski, kuzyn sekretarza partii. Nasze wybory unieważnił Wydział Kontroli i Instruktażu Urzędu Wojewódzkiego w Łomży stwierdzając, niezgodnie z prawdą, że „są one nieważne, ponieważ większość osób wstrzymała się od głosu”.

— Oskarżacie Jankowskiego, że bogaci się waszym kosztem — włącza się naczelnik. — Powodem nowych napaści stały się ziemniaki. A rzecz wygląda przecież inaczej. Na wasz wniosek zważyliśmy je. Okazało się, że skarga zawiera wiele fałszywych danych. Jeden tylko ze świadków, którzy podpisali skargę, stwierdził, że widział ziemniaki, natomiast pozostali przyznali się, że nie widzieli ich, tylko słyszeli od sąsiadów. Plotka to jeszcze za mało, żeby oskarżać. Nie chodzi tu o Jankowskiego. To samo może spotkać każdego z was. W trakcie poprzednich wyborów trafiło do mnie mnóstwo listów — przede wszystkim anonimów. Dotyczyły i Jankowskiego, i Zielińskiego. W jednym z nich oskarżono mnie o koneszachtę z panem Zielińskim. A wasz obecny sołtys najlepiej wie, że to kłamstwo. Pomówienia mogą krzywdzić bardzo wielu z nas. A jeśli już jestem czegoś pewien, to dlaczego mam się obawiać złożenia pod tym swego podpisu?

— To może zapytajmy pana naczelnika, dlaczego wcześniej nie słuchał głosu większości, a nastawiał ucha na to, co mówiła dwunastka głosująca na Jankowskiego. Odpowiedź jest prosta: bo wśród niej był sekretarz POP, Jankowski zaś to jej pociotek. Nic dziwnego, że chociaż niechętni, czuli się silni. Kto trzyma ze słabymi?

— A ja przypomnę, co wtedy mówiłem o Szewczyku i kilku podobnych. Im wolno było łać do mleka wodę, bo partyjni. Nam nie. Szewczykowi wolno było łać nawet do mojej kany.

— Macie zastrzeżenia do decyzji POP. Dla mnie, naczelnika, sekretarz zawsze był autorytetem i będzie. Zwłaszcza że w tym przypadku jest osobą uczącą wasze dzieci i zasługującą na szacunek. I ja w swojej pracy podpieram się takimi ludźmi.

— Większość z nas uważałaby, że los się do nas uśmiechnął, gdyby pani Dobkowska z tej góry w szkole się wyprowadziła i odeszła z naszej wsi. Dobrze już dała się nam we znaki.

— Nie mówmy nieładnie o nieobecnych.

— Jest to może nieładne, ale prawdziwe. I niech już pan naczelnik ich tak nie broni. Trzeba ją i jej pociotków pozbawić wszelkich funkcji.

Do dyskusji włączają się kobiety.

— A nasze dzieci od takiej nauki na pewno w Kosmos nie polecą.

— Czy my naprawdę wiemy, kto ile zdał mleka i jaki ma tłuszcz?

Ta sprawa musiała tkwić w wielu bolesną zadrą, gdyż wywołuje gorący oddźwięk całej sali.

— Ze świniakiem to samo, co z mlekiem: zdajemy bez podania nam wagi, zupełnie w ciemno. Zawozisz na spód, tam wpuszczają go do klatki i jaką wagę wypiszą, taka jest dobra. Rolnik nie ma żadnej możliwości sprawdzenia, czy nie został oszukany.

— Ja oddaję pełnotłuste mleko, bo mam czerwone krowy, a wpisują mi najniższy procent. Pytam, na czyje konto idą te moje procenty? To woła o pomstę do nieba! Tak być nie może! Procentu do kieszeni się nie schowa. On musi być. I jest, tylko nie u nas! Dlaczego nagle u Jankowskiego te litery gdzieś uciekły? Pewnie dlatego, że sprzedał jedną krowę z dwoma cyckami.

Sytuację próbuje opanować naczelnik: — Wiem, że zlewniarza oszukują w mleczarni. Ten człowiek musi się później z tego wyliczyć. Rzeczywiście ogólny procent jest bardzo wysoki, a później, po rozliczeniu przychodzi z mleczarni bardzo niski.

— I w ten sposób my, rolnicy, za to wszystko płacimy.

— Kartę dostaw daje się nam z czterdziestu dni. Jak rolnik może pamiętać, ile oddał mleka czterdzieści dni temu? Oszuści to wykorzystują i okradają nas.

— Nas wszystkich, czyli dołu, zmienić nie można. Ale górę się da. Więc powyrzucamy tych oszustów z góry. Zlewniarz nie pasuje ludziom — zmienimy. W Łomży oszukują — zmienimy. Zmieniamy, a nie usprawiedliwiamy tych cwaniaków. Dajcie nam materiały na budowę zlewni, a sami ją postawimy. Skończą się wreszcie te kłótnie. Wyprodukujemy na pewno więcej. Sprawiedliwiej — w naszym rozumieniu — musi oznaczać: więcej. Tylko teraz, po wyborach, niech pan naczelnik z łaski swojej nie idzie tam, na górę, na konsultację, bo już raz po takiej naradzie u pani sekretarz jednego sołtysa nam załatwili.

Nie wiem, co zrobi naczelnik, natomiast ja spotykam się z sekretarzem tamtejszej POP.

— Na zebranie nie przyszliśmy, bo wiemy, że ich nie przekrzyczymy. Nawet na siłę ludzi ciągnęli, żeby było więcej. A cała ta kłótnia i podział wsi powstały przez mleko. Wpłynęło pismo na zlewnik i wozaka. Oskarżono ich o fałszowanie ilości mleka, zawartości tłuszczu... Wszak poprosił o obronę w POP. Przedstawiłam więc sprawę na zebraniu. Nikt, poza Janem Zielińskim, nie miał zastrzeżeń. A ten uważał, że — niezależnie od słuszności oskarżeń — trzeba zmienić wozaka, skoro życzy sobie tego wieś. Nikt na zebraniu POP, poza Zielińskim, nie zajął podobnego stanowiska. I dalej mleko woził ten sam wozak. Skutek jednak był taki, że część wsi, oskarżona o machlojkę z mlekiem, zażądała zmiany na stanowisku sołtysa, którym do tej pory był Jan Zieliński. Naczelnik wyraził zgodę. Zaczęły się więc wybory, które trwały przeszło dwa lata. Były to chyba najdłuższe wybory w Polsce. W pierwszych wygrał stary sołtys (Jan Zieliński). Ale Prezydium tego nie zatwierdziło. Drugie wybory zostały przez obóz Zielińskiego zbojkotowane, po oświadczeniu naczelnika, że nie może on być kandydatem na sołtysa. „Wodoleje”, czyli my — tak nas nazywają — podaliśmy Jankowskiego. Na kolejnym zebraniu wybrano Jankowskiego. Jednak „śmieta-na”, czyli oni, nie zaakceptowali go.

Następną wizytę składał rodzinie Jankowskich. W domu zastają ojca i syna, byłego sołtysa.

— Kto by tam syna ruszył — wzrusza ramionami stary Jankowski. — Jest w PZPR i, na dodatek, radnym. A przecież jak odnowa, to odnowa. A jaka tu u nas odnowa, skoro mamy ponownie starego sołtysa? To krzywdą dla naszej połowy. Najlepszym rozwiązaniem byłby wybór dwóch sołtysów, tak jak przed wojną. Nasza strona na zebranie nie przyszła, chociaż jesteśmy w większości. Oni niektórych brali na siłę.

— Podczas wyborów — włącza się były sołtys — w których mnie wybrano, kandydowały trzy osoby. Zabrakło Zielińskiego, bo na tę kandydaturę nie zgodziła się gmina. Ja dostałem 18 głosów. Inni się wstrzymali. Mleko — to rzeczywiście zasadniczy punkt sporu. Tylko czy można się dziwić, że my zdajemy go więcej? Przecież posiadamy jedenaście krow, a inni mają po trzy zaledwie. Boli

obyczaje



nas więc, kiedy słyszymy, że wszystko wykupujemy za wodę — oczywiście za tę rzekomo dolewaną do mleka. Tylko że żaden zlewniarz nie ma do naszej wody pretensji. Oni zmieniają wciąż zlewniarzy. Za każdym razem ten sam powód: że ich oszukują. A my nigdy wyników nie podważamy. Albo z ziemniakami. Mamy bardzo nisko położone pole i wymokło nam faktycznie najwięcej. Posadziliśmy przeszło sto kwintali, a zebraliśmy ze 170. Stawia mi się zarzut, że nie powiadomiłem rolników o możliwości ubiegania się o odszkodowanie. A przecież żaden z sołtysów nie dostał odpowiedniego pisma, tylko powiedziano nam o tym w gminie. Czekał na pismne zawiadomienie.

Czuję, że w głowie coraz bardziej zaciera mi się obraz sprawy. Co strona — to racja. Spotykam się więc jeszcze raz z paroma osobami z grupy „śmietany”, by skonfrontować przedstawione mi racje.

— Sekretarza POP to myśmy sami tak rozpuścili. Była wszędzie — tak jej na początku ufaliśmy i... wybieraliśmy. Z tego wyrósł jej dyktat nad całą wsią. Trzyma tylko ze swoimi: Dobkowscy, Jankowscy, Gałazcy, Kosińscy, Szczubelek — to właściwie jedna rodzina, wzajemnie się popie-

rająca. Jak tu hodować krowy, skoro nam płacą po 3—4 złote za mleko? Tak nas oszukują na tłuszczu. Wszystko przez nich, bo leją wodę. A zlewniarz też człowiek i musi wyjść na swoje. Wszyscy opuszczamy już ręce.

— Oczywiście, oni mówią, że to wszystko kalumnie. Jak zacząłem jednak dochodzić swojej racji przez prokuratora, to dwukrotnie doszukano się kręactw i wypłacono mi parę tysięcy złotych. Musimy mieć tu zlewnię mleka. Wtedy moglibyśmy wszystko skontrolować. Teraz nasze mleko wozi się do mleczarni o drugiej godzinie w nocy, ukradkiem, żeby nie było żadnej kontroli. Grady dostarczają najwięcej z okolicy i na nas najwięcej inni zarabiają.

— Mówili mi kiedyś, że jak ustąpię z miekiem, to zatwierdzą mnie na sołtysa — dodaje Jan Zieliński. — Ale ja z mlekiem nigdy nie ustąpię i oni o tym wiedzą.

Pretensje tych ludzi potwierdza — przynajmniej w części — oficjalny dokument Urzędu Wojewódzkiego ze stycznia 1979 roku: „W przedmiocie nieuczciwej pracy pracownika skupu mleka w Dziezgach, skarga mieszkańców wsi Grady Nowogrodzkie okazała się zasadna i tak: komisyjnie wykonane w laboratorium Zakładu

Mleczarskiego w Mątewicy próby jakości mleka, dostarczonego przez zainteresowanych do punktu skupu w Dziezgach wykazały u kilkunastu rolników niezgodność z wynikami pierwotnymi na plus i minus dostawców”.

I jeszcze jeden cytat z tego samego pisma na temat zebrania wyborczego z 21 kwietnia 1978 roku: „na zebraniu tym nie mogła być zgłoszona kandydatura Jana Zielińskiego na sołtysa wsi. Mieszkańcy sołectwa nie wyrazili zgody na pełnienie funkcji sołtysa przez innego obywatela jak Jan Zieliński. W związku z tym zebranie nie przyniosło oczekiwanego rezultatu. Podobnie przedstawiała się sytuacja na następnym, kolejnie zorganizowanym zebraniu”.

Mimo to upór administracji zwyciężył. W dniu 12 stycznia dokonano wyboru na sołtysa Henryka Jankowskiego, co uzasadniono w dokumentach następująco: „na zebraniu nie stwierdzono głosów przeciwko wymienionemu”. Wtedy jeszcze milcząca większość okazała się bezsilna.

Teraz nadszedł czas na wyrównanie rachunku. Ale czy to pogodzi skłóconą wieś?

LECH GIZELBACH
Fot. GABOR LÖRINCZY

kontakty kontaktów

7
KONTAKTY
15 II 1981

Od czasu powstania „Kontaktów” jestem stałym czytelnikiem Waszego pisma. Bodźcem do napisania tego listu stało się opublikowanie przez Was listu p. Polesińskiego traktującego o pracy organów ścigania oraz wypowiedź pracowników Prokuratury. Sam bowiem miałem okazję zapoznać się ze sposobem działania organów ścigania, gdy w kwietniu ub. r. w piśmie do Prokuratury Wojewódzkiej prosiłem o interwencję w sprawie nadużyć finansowych na kursach motorowych, prowadzonych w szkole i poza nią, oraz kradzieży mienia szkolnego, fałszowania dokumentacji itp.

Po przybyciu do szkoły komisji z Wydziału Rolnictwa UW w Łomży zostałem wezwany przed oblicze tejże komisji i zdziwiłem się, że razem z kontrolerami zasiada w niej ówczesny dyrektor szkoły i jego zastępca. Zdziwienie wynikało stąd, że m.in. oni zamieszani byli w nadużycia. A stało się ono większe, gdy o baj dyrektorzy, udając chyba prokuratorów, próbowali przez zastraszanie zmusić mnie do tzw. „odszykowania” tego, co napisałem. Kiedy zauważyli, że ich usiłowania nie dają efektów zaczęli dla odmiany gratulować mi odwagi, dziękować za społeczną i obywatelską postawę. Nie będę rozwodził się nad sposobem przeprowadzenia kontroli. Mogę tylko zapewnić, że byłby z tego niezły scenariusz filmowej komedii. Po pewnym czasie otrzymałem z Wydziału Rolnictwa pismo informujące, że część nadużyć została wykryta i sprawcom nakazano zwrot pieniędzy, natomiast innych nie sposób sprawdzić.

Zaiste dziwna to komisja, która zdołała wykryć tylko najmniej istotne sprawy. Przecież te pozostałe również były do wykrycia. Udowodniłby je nawet zupełny ignorant, który umiałby czytać i kojarzyć najprostsze fakty. Może przeszkadzał w tym fakt, że kontrolerzy i kontrolowani mówili sobie po imieniu?

Niedawno w „Śpięciach” była notka, że w Grajewie instruktor jazdy wozi teściową zamiast kursantów. W porównaniu z tym, co się działo i dzieje w naszej szkole to betka. Nasi instruktorzy, a jednocześnie nauczyciele potrafią mieć do wyłącznej dyspozycji samochód nauki jazdy i pracować na kilku kursach jednocześnie — dla uczniów doskonały „moment wychowawczy”! I tego komisja również nie zdołała wykryć.

Wiele się teraz mówi i pisze o odnowie. Ja, od czasu moich „kontaktów” z Prokuraturą, mam w szkole zaciekle wrogów inicjujących różne „podchody”, wydających oszczercze opinie i straszących czym się tylko da. Nie przejmuję się tym, bo wolę jawnego wroga niż wątpliwego przyjaciela. Jak dotąd nikt mi wprawdzie nie wbili noża w plecy, ale nie wszyscy mają szczęście. Jeden z naszych pracowników np. został zwolniony z pracy za to, że zarzucił swemu zwierzchnikowi nieuczciwe wykorzystywanie samochodu służbowego i szykanowanie jego osoby. Pomimo udowodnienia na egzekutywie POP większości zarzutów po paru dniach postawiono go przed alternatywą: zwolnienie z pracy dyscyplinarne lub na jego prośbę. Szykanowany pracownik odszedł, jak to się często robi „ze względu na stan zdrowia”. Nie pomogła nawet zakładowa „Solidarność”! Nasuwa się pytanie: dlaczego pomimo wielce obiecującego słowa „odnowa”, zło dziej nadal czuje się pewniej niż człowiek uczciwy, a jednostka przegrywa z kliką?

Chyba dlatego, że złodziejska solidarność jest tak mocna, że nie potrafi jej rozkruszyć najmocniejsza nawet ręka „Solidarności”.

HENRYK SAROSIEK
Zespół Szkół Rolniczych
Marianowo

☆
Sprostowanie: Do publikowanego w naszej rubryce listu Teresy Gradzkiej („Kontakty” nr 2) chochlik całkiem niepotrzebnie dopisał boczny numer taksówki — 2. Przewiezienia do szpitala rannego dziecka odmówił łomżyński taksówkarz kierujący pojazdem z numerem rejestracyjnym LON 0860. Serdecznie przepraszamy zainteresowane osoby i Czytelników.



licealiści o miłości

Czy rodzice, nauczyciele albo działacze młodzieżowi znają opinię swoich wychowanków o miłości i małżeństwie? Zaprezentowane tu sądy nie będą — oczywiście — powszechne, bowiem przeankietowano zaledwie 827 licealistów z dziewięciu liceów ogólnokształcących, ale może zachęcać do rozmowy na te tematy ich równolatków. Zapraszamy. Dla najciekawszych wypowiedzi udostępnimy nasze łamy.

CZY WIERZĄ W WIELKĄ MIŁOŚĆ

Mówiąc o miłości idealnej, wielkiej czy też romantycznej, nie potrafimy podać jej definicji, natomiast wyczuwamy intuicyjnie, że chodzi nam o taki związek uczuciowy, który łączył np. Romea i Julię. Czy ten typ miłości, często eksponowany przez literaturę, należy wyłącznie do przeszłości, czy też zdarza się współczesnej młodej generacji?

Tylko nieliczni licealiści (4 proc.) nie wątpią w istnienie prawdziwej miłości, natomiast ponad połowa jest zdania, iż występuje ona bardzo rzadko. Spora część, bo więcej niż co dziesiąty, twierdzi kategorycznie: „Taką miłość spotyka się w filmach, książkach, ale nie w realnym życiu”. Blisko 1/4 uchyla się w ogóle od zabrania głosu w tej kwestii.

Ogólną niewiarą w istnienie autentycznego związku „dwojga serc” potwierdzają również inne dane. Na pytanie: „Czy wierzysz, że przeżyjesz taką miłość jaką np. została ukazana w „Trędowatej?” — tylko niespełna 30 proc. dało odpowiedź twierdzącą, przy czym deklaracji zdecydowanych — typu „na pewno przeżyję” — padło zaledwie 14 proc. Dziewczeta bardziej optymistycznie wypowiedziały się w tym względzie niż chłopcy; spośród nich aż ponad z górą 40 proc. zaprzeczyło, a „zdecydowanie nie” odpowiedział co siódmy respondent. Co czwarty uchylił się od zajęcia stanowiska.

Skoro powyżej 40 proc. badanej młodzieży sceptycznie odniosło się do szansy przeżycia romantycznej miłości — jak rozumieć fakt, że prawie ta sama ilość odpowiedziała twierdząco na pytanie: „Czy już przeżywałeś(łaś), a może obecnie przeżywasz wielką miłość?”. Przy czym trzeba podkreślić, że więcej niż połowa (szczególnie dziewczęta) nie łączyła prawdziwej miłości z pożądaniem seksualnym. Tylko niewiele osób, bo zaledwie 6 proc., zdecydowanie kojarzyło miłość z seksem; dla nich (głównie chłopców) nie istnieje uczucie bez zbliżeń cielesnych.

A co myślą licealiści o wpływie przedmażeńskich stosunków seksualnych na pożywie małżeńskie? Z górą 40 proc. odpowiadających oceniło ten wpływ negatywnie, natomiast bardzo nieliczna grupa sformułowała opinię dodatnią. Ale tylko 1/5 ankietowanych (z przewagą dziewcząt) opowiedziało się za rozpoczęciem współżycia płciowego dopiero w małżeńskim śladzie (24 proc. dziewcząt, 9,7 proc. chłopców).

CHARAKTER ZA ROZGŁOS

Pierwszą lokatę wśród cech kandydatów na małżonków zajął charakter. W ten sposób zostały zdyskwalifikowane tak renomowane kryteria, jak uroda czy dobór seksualny. Tuż za charakterem uplasowały się: zaradność życiowa, zainteresowania, a z warunków wyboru — wzajemne poznanie.

Wśród uznawanych przez badaną młodzież wartości najwyższą pozycję zajęła rodzina. Wysoką lokatę uzyskało również zdrowie. Inne determinanty szczęścia ludzkiego były stosunkowo rzadko wskazywane. Tylko nieliczni wymienili wykształcenie. Chłopcy ponadto (dużo częściej od dziewcząt) głosowali na warunki materialne oraz rozgłos i sławę.

O KRYTERIACH DOBORU MAŁŻEŃSKIEGO

Blisko 1/4 była zdania, iż w małżeństwie powinni się kojarzyć partnerzy z tej samej klasy społecznej. Mniej więcej taka sama liczba respondentów ujawniła w tej kwestii przeciwny pogląd, zaś 1/5 udzieliła odpowiedzi typu „raczej nie”. Dla ok. 20 proc. sprawa pochodzenia społecznego była obojętna.

Większa jedynomyślność wystąpiła w innej sprawie. Oto niemal 80 proc. ankietowanych uważało, iż małżeństwa powinni tworzyć ludzie o podobnych lub zbliżonych zainteresowaniach, upodobaniach i aspiracjach oraz podobnych charakterach. To stanowisko preferowały o wiele częściej dziewczęta niż chłopcy (83 proc. i 65 proc.). Co dziesiąty respondent nie podzielał tego poglądu, nieliczni zaś twierdzili, iż są to sprawy dla nich obojętne.

Istotnym kryterium doboru małżeńskiego dla 60 proc. dziewcząt okazała się religia; wśród chłopców niespełna 36 proc. podzieliło tę opinię. Tylko nieco więcej niż 1/3 dziewcząt wyraziła gotowość zawarcia związku małżeńskiego z narzeczoną innego wyznania, natomiast spośród chłopców niemal 64 proc.

Różnice narodowościowe okazały się mniej znaczące w porównaniu z religią; ponad połowa ankietowanych wyraziła chęć poślubienia obco krajowca, a tylko 1/4 odrzuciła ten typ oferty. Natomiast większość badanej młodzieży nie chciała wychodzić poza krąg swojej rasy; zaledwie 1/3 (głównie dziewcząt) przystałaby na taką propozycję. Aż 70 proc. licealistów uznało jednakowy lub zbliżony typ oraz poziom wykształcenia za warunek zgody małżeńskiej, a zaledwie 8 proc. zakwestionowało tę przeszkodę przy czym również 8 proc. nie przywiązywało do niej żadnego znaczenia.

DOJRZEWANIE DO MAŁŻEŃSTWA

Ponad 35 proc. młodych ludzi było zdania, że przed zawarciem małżeństwa należy „chodźć z sobą” dwa lata; ponad 1/5 wystarczał jeden rok, a co dziesiątemu — kilka miesięcy.



i małżeństwie

przy czym krótki okres „chodzenia” był zdecydowanie rzadziej podawany przez dziewczęta niż chłopców (6,5 proc. i 18 proc.). Znaczna część, bo ponad 13 proc., proponowała trzy lata i więcej.

Za najwłaściwszy wiek kobiety do założenia rodziny ponad połowa licealistów uznała 20–23 rok życia; takiej odpowiedzi udzieliło 3/4 dziewcząt, natomiast zdecydowanie oponowały przeciwko zawieraniu związku małżeńskiego przed upływem lat 20. Chłopcy w 40 proc. odpowiedzi stawiali na bardzo młode żony.

Bez względu na płeć licealiści (z górą 70 proc.) byli zgodni co do różnicy wieku pomiędzy małżonkami, którą ustalili na ok. trzy lata. Blisko 1/5 przesunęła tę różnicę od 4 do 6 lat. Tylko niewiele (4,6 proc.) osób opowiedziało się za różnicą 7–10 lat, a wśród nich przewagę stanowili chłopcy (3,3 proc. i 7,5 proc.).

DWA PLUS TRZY

Wszyscy pytani, bez wyjątku na płeć, wykazali jedynomyślność w temacie: wielkość rodziny. Ponad połowa opowiedziała się za dwójgiem dzieci, blisko 40 proc. za trojgiem; tylko nieliczni chcieli mieć jedno dziecko, a niewielu — czworo. Ani jedna osoba spośród 827 ankietowanych nie obstawała przy rodzinie bezdzietnej.

Ostatnie z pytań przyniosło smutne efekty. Okazało się, że dla zdecydowanej większości badanych dom rodzinny nie stanowi właściwego przykładu, na którym mogliby się wzorować przy zakładaniu i prowadzeniu własnego życia rodzinnego.

Na pytanie: „Czy znasz takie rodziny, które mogłyby być wzorem harmonii małżeńskiej?” — tylko niespełna 12 proc. odpowiedziało twierdząco. Ponad połowa znała nieliczne, a 33 proc. ankietowanych oznajmiło: „Może i są takie rodziny, ale osobiście ich nie znam”.

FAKTY CZY DEKLARACJE

W ujawnionych poglądach nastolatków na temat miłości i życia rodzinnego przebiega się wiele stereotypów, utrwalonych przez wiele stuleci, ale są też w nich spostrzeżenia nowe, ukształtowane przez współczesność. W wysuwaniu ogólnych wniosków należałoby jednak zachować dużą ostrożność, ponieważ materiał badawczy był dość szczupły, a technika uzyskiwania odpowiedzi — niedoskonała. Założmy, że przedstawione efekty badań odzwierciedlają aktualne stanowisko młodych w kwestiach miłości i małżeństwa, lecz za pięć lat wypadnie ponownie sondować — jeśli nie zrodzą się precyzyjniejsze techniki rozpoznawania stanu świadomości wybranej populacji — bowiem w szybko zmieniającym się świecie żadne kryteria wartości nie są stałe.

Dr STANISŁAW PAJKA
Fot. GABOR LÖRINCZY

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

bo jeśli kochać - to tak jak należy

9 kwietnia 1980 r.

Coś dziwnego stało się w moim dość odpornym sercu. Jakby zrobiło się miękkie, mniej odporne. Marcin jest chyba tym, którego kocham. Był występ dwu artystów w naszej szkole (na sali gimnastycznej). Naprzeciwko mnie stali Marcin i Piotr. Dopiero teraz spostrzegłam, że Marcin jest ładny. Ma taką męską twarz, rysy trochę zastrzone i piękny — złoty i lśniący — kolor włosów.

Jestem dziewczyną trudną i nie tak łatwo jest mnie wykiwać. Może inna na moim miejscu błagałaby go o miłość, ale nie ja.

10 kwietnia 1980 r.

Kocham, kocham, kocham... I ta miłość uderza mi do głowy. Jestem idiotką. A może i nie? Nie chcę być naiwną, chcę być inna niż te dziewczyny z naszej klasy, które biją się o chłopaków.

Marcin podszedł do mnie na przerwie i spytał, czy nie mogłabym udzielić mu korepetycji z fizyki. Zaprosił go do siebie, zapoznałam z mamą i poszliśmy do mojego pokoju. Rozłożyłam książki, zeszyty i rozpoczął gruntowny egzamin. Nie umiał nic, albo nie chciał mu się mówić. Wgapił się we mnie, jak w tablicę, a ja strasznie tego nie lubię. Widziałam, że wcale mnie nie słuchał.

— Słuchaj — powiedziałam — albo będziesz robił to, co ci każę, albo będziesz miał łufę z fizyki.

— Dobrze, pani mego serca.

— Więc $V=s \cdot t$. Jak z tego wzoru obliczyć s , czyli drogę?

— Wiesz, Grażynko, bardzo mi się podobasz.

— Jak obliczyć s ?

— S to Grażyna + Marcin, czyli miłość.

Mogłam dać się ponieść uczuciom, zapomnieć o świecie i całkowicie

poświęcić Marcinowi. Ale trzeba umieć brać życie.

19 czerwca 1980 r.

Chodzę z Marcinem. Kochamy się. Otrzymał db z fizyki. Z nim czuję się cudownie. Staję się odważniejsza i mądrzejsza. On mówi, że mnie kocha, a ja — że kocham Szekspira, Mickiewicza.

30 czerwca 1980 r.

Marcin, Marcin, mój kochany, najdroższy. Kocham Cię. Będę Cię zawsze kochała, a wspomnienie o tobie pozostanie mi na całe życie. Byłeś taki dobry, taki czuły. Zawsze mi mówiłeś: „Grażynko, będę Cię zawsze kochał jak swoją królową. Ta ławka to nasze miejsce na ziemi. Pamiętaj, że deszcz to nasz przyjaciel, a świat to nasz druh”. A ja mówiłam: „I właśnie za te słowa

cię kocham Marcin”. Wtedy on przytulił mnie do siebie i było nam tak dobrze. Teraz mam tylko nasze miejsce na ziemi i te ciepłe słowa, które powoli będą coraz cieplejsze. Jak to się mogło stać? Przecież zawsze byłeś taki ostrożny. Prowadziłeś mnie za rękę, bo bałeś się, aby twoja królowa nie wpadła pod samochód. Uważałam to za żart. A teraz Ty sam... Kocham Cię, Marcin.

1 września 1980 r.

Na ementarzu jest tak pięknie. Zdjęcie Marcina trochę wyblakło, ale jego twarzy nie zapomnę nigdy. Codziennie zanoszę mu czerwonego goździka na znak mojej miłości. Rozmawiam z nim o szkole, o naszej ławce, a potem mówię: — Marcin, kocham Cię. Zegnaj do jutra.

GRAŻYNA SIATECKA
Tychy

Moje życie, czym ono jest?" — ciągle się zastanawiam i dochodzę do wniosku, że żyję, bo kocham, a miłość może przezwyciężyć wszystko.

Piotrka poznałam 25 sierpnia 1980 roku, właściwie nie poznałam, lecz wyłowiłam z wszystkich chłopaków z naszej budy. Właśnie Jego. Obserwowałam Go zawsze, zbierałam informacje, starałam się dowiedzieć, czy ma dziewczynę i...

Wszystko wybuchło tak niespodziewanie. 1 września — szkolna zabawa. Wiedziałam, że tego dnia musi się coś wydarzyć. No i zakochałam się! O tak, zwyczajnie (bo czy można się zakochać nadzwyczajnie?).

Nie wiem, jak to się stało, ale poprosiłam (odważyłam się poprosić) Piotrkę do białego tanga. Kiedy z Nim tańczyłam, czułam się jak w niebie, świat wirował mi w oczach — byłam szczęśliwa, żyłam.

Nie wiedziałam tylko, że to szczęście po niedługim czasie nie będzie już radością, będzie pragnieniem...

Co dzień widywałam Go w szkole, był dla mnie wszystkim, a ja dla Niego — niczym.

Moja miłość trwała i z każdym dniem wzrastała, każdego dnia mówiła mi, że żyje i żyć będzie długo, i że ma już 22 dni!

Ale musiałam działać, bo wiedziałam, że On pierwszego kroku nigdy nie robi, pewnie mnie nawet nie zauważył... Postanowiłam się z Nim spotkać, porozmawiać.

ON: UDERZENIE

Twoje serce znów uderzyło mocniej tym razem mocniej niż zwykle i co najważniejsze trafiło...

Dostałem potworny strzał w pysk. Ale teraz wiem, że pozbiierać się mogę tylko z Twoją pomocą.

Ten wiersz powinien być napisany już dawno. Najprawdopodobniej w noc Andrzejkową, a może jeszcze wcześniej. Tak w ogóle moje wiersze mogę podzielić na dwie grupy: te, które długo siedzą w głowie, czekają, aż się zrobi miejsce na papierze, a te, które ledwo musną korę mózgową i już z hukiem spadają na papier. Z reguły wolę te wiersze, które piszę z łatwością, bo wydają się prawdziwsze.

Sprawdź teraz, czy serce bije Ci znowu tak mocno. Jeśli tak, to go powstrzymaj, nie mam zamiaru chodzić do szkoły z podbitymi oczyma!

13.01.1980 r.

ONA: Wiesz, nie przypuszczałam, że Twoje zainteresowanie trwało od Andrzejków. Co prawda domyślałam się tego, odkąd napisałeś ten wiersz o dyskotekowej hali maszyn. Przeczuwałam, że dyskotekowa hala maszyn to nasze Andrzejki.

Coś mi się wydaje, że ten notatnik jest coraz cieńszy — wiesz, z czym mi się to skojarzyło? Z nie napisanymi jeszcze dobami życia. Ich też jest coraz mniej. Tylko trochę szkoda, że nie można sobie kupić drugiego, trzeciego życia, tak jak kupuje się zeszyty. Do czego można porównać wyrwane kartki? Może do dni, w których nagle „urwał się film”? A może do tych zwykłych, szarych, zapomnianych i już prawie nie istniejących? Taki notes składa się wtedy tylko z wielkich wydarzeń. Albo też wyrwane kartki to te dni, które chciałoby się wymazać z pamięci? Wyrwa się kartkę, ale,

Łatwo powiedzieć: spotkać! Dobre sobie!

O spotkanie z Nim poprosiłam Ilonę — zgodziła się. Byłam ciekawa, co powie i jednocześnie umierałam ze strachu: a jeżeli nie nie wyjdzie? Jeżeli On powie „Nie zwracaj mi głowy”? Gryzło mnie to. Nie mogłam w nocy spać.

Ilona sprawę załatwiła: mieliśmy się spotkać przed szkołą o godz. 12.30 (w poniedziałek). Czekałam na tę godzinę. Bałam się.

Kiedy wyszłam ze szkoły, On już czekał, uśmiechnął się (wydawało mi się, że serdecznie — nie wiem, może to był uśmiech ironii?). Ja też się uśmiechnęłam.

— Cześć!

— Cześć!

I milczenie, które gryzło mnie, ale nie potrafiłam powiedzieć ani słowa.

— Słucham, mów — powiedział.

Dopiero po dłuższej chwili udało mi się wydobyć z siebie kilka słów:

— Muszę się z Tobą zobaczyć, porozmawiać trochę, muszę się z Tobą spotkać — jękałam się.

Urwałam, przestraszyłam się własnych słów. Jak mogłam tak powiedzieć? Może On ma mnie w pięcie, a ja mu się narzucam?

— Dobrze, pasuje ci dzisiaj o 18.00?

Zaskoczył mnie tym i jednocześnie wyrwał z tych podłych myśli.

— Tak, ale...

— Koło Horteksu — przerwał mi.

— Dobra, to do zobaczenia.

kochać i tracić



dialog miłosny

niestety, obstrzępiony brzeg zostaje. Żałuję, że nie można od razu zająrzeć na ostatnią stronę. Kiedyś zdarzało mi się, że czytałam mniej ciekawe książki w ten sposób; pierwszy rozdział i ostatni. I mniej więcej wiedziałam, o co chodziło. A może i lepiej, że człowiek nie zna ostatniego dnia, wtedy dopiero byłoby kolejki w instytucjach pogrzebowych. Ciekawa jestem, ile jeszcze pożyję, jedno wiem prawie na pewno — w 2063 już mnie nie będzie.

15.01.1980 r.

ON: Jeśli życiem kieruje los, to ja zakładam loterię!

Niby moje, ale ktoś to musiał już wymyślić. Bo przecież Ty wyciągnęłaś pewnego razu los z napisem „Cyryl” — nie? W loteriach liczą się cyfry. Więc ten los wyglądał tak: nr 20 lb. Oczywiście, dochodziła kwestia sprawdzenia wyniku w tabeli wygranych, bo to w sumie jest najważniejsze. No i pewno spraw-

dziłaś, a że sprawdziany z reguły piszesz na bdb, to i ten wyszedł dobrze.

I ja kiedyś musiałem zrobić to samo. Wyciągnąłem, sprawdziłem, uznałem, że jestem szczęśliwy. Ale się zastanawiam, czy nie byłoby dobrze wyciągnąć takiego jednego wspólnego losu, losu dwupasmowego jak autostrada i — „autostradą do słońca”...

16.03.1980 r.

ONA: Co dzień wyciągam los, od 16 lat i 4 miesięcy, ale tylko od czasu do czasu trafia mi się atrakcyjny i premiowany. Cieszę się, że zasłużyłam na Twoje uznanie. Czy ostatnie zdanie mam traktować jako propozycję?

17.03.1980 r.

ON: Wiosna aż rzuca się w oczy. Kapitałnie ją widać. Oczywiście, jest

Do domu leciałam jak na skrzydłach, byłam zadowolona, że będę mogła Mu powiedzieć słowa miłości. Ale czy warto?

Była 18.05, gdy wyszłam z domu. On już czekał, a na Jego twarzy był ten sam uśmiech, co przedtem.

— Zapraszam cię do Kawiarni — otworzył drzwi i zrobił ruch dżentelmena, przepuszczając mnie przodem. Usiedliśmy przy Jego ulubionym stoliku, zamówiliśmy kawę.

Rozmawialiśmy właściwie o niczym i nagle coś się we mnie odezwało. Usłyszałam gwój głosu: — Piotrek, kocham Cię, nie potrafię tego dłużej w sobie trzymać, nie potrafię z tym żyć.

Chwila milczenia.

— Piotrek, ja naprawdę Ciebie pokochałam. Wiem, że nie powinienam Ci tego mówić, ale... chcę, byś to wiedział.

Zmieszałam się, ogarnął mnie strach, spojrzałam na Piotrkę. Patrzył na mnie dziwnym wzrokiem, czułam to i nie mogłam tego znieść, zaczęłam płakać.

A on? Wziął moją rękę w swoją dłoń i zaczął mówić: — Nie płacz, Wiolu, nie płacz. Ja też Ciebie pokochałem, nie płacz, Wiolu...

Płatały mu się słowa, nie wiedział, co mówić. A ja płakałam, płakałam ze szczęścia. Nie pamiętam, co było później, wiem tylko jedno, że to stało się 30 września (w poniedziałek) i trwa do dziś.

WIOLETA z Konina
(nazwisko znane redakcji)

dylemat, gdzie patrzeć, ale ja osobiście radzę na kalendarz... Jak to miło poczuć się zdrowym po tylu dniach choroby. Leżenie nie jest moją specjalnością. Zdecydowanie wolę słońce i Ciebie od łóżka. Wiesz przecież, że kiedyś znaliśmy się o wiele mniej, te notatki spełniły trochę inną rolę niż dziś. Pisałem rzeczy, o których nie zawsze byłem w stanie powiedzieć. Dziś znamy się lepiej, kochamy się, jest nam dobrze, i potrafimy mówić do siebie to, co kiedyś, w sposób niejednokrotnie zakamuflowany, tylko napisalibyśmy.

18.05/1980 r.

ONA: To coś, co zaobserwowałam, jest bardzo nieuchwytnie. Może się mylę, ale chwilami mam wrażenie, że patrzysz na świat w sposób taki, jak robi to S. Ozga-Michalski. Nie wiem, czy Ty zdajesz sobie z tego sprawę, być może — nie. Zresztą ja sama wiem, jak bardzo kształtuje moją wyobraźnię i sposób doznawania każdy przeczytany tomik poezji, książka czy zdarzenie. W każdym bądź razie patrzysz na otoczenie inaczej niż wszyscy, niż reszta społeczeństwa.

2.06.1980 r.

I na tym właściwie kończy się nasza historia. Trwało to jeszcze kilka miesięcy, a potem rozeszliśmy się. Właściwie to ja ją zostawiłem, ale nie dla innej. Po prostu odszedłem w głąb siebie. Nie chciała tego zrozumieć. Było mi jej żal, ale nie mogłem zrobić.

Niedawno przeczytałem piękny wiersz. Nie jestem pewien, czy ona jest jego autorką, ale był na gazecie, którą ona redaguje:

Szukam cię — A gdy cię widzę,
Udaję, że cię nie widzę.

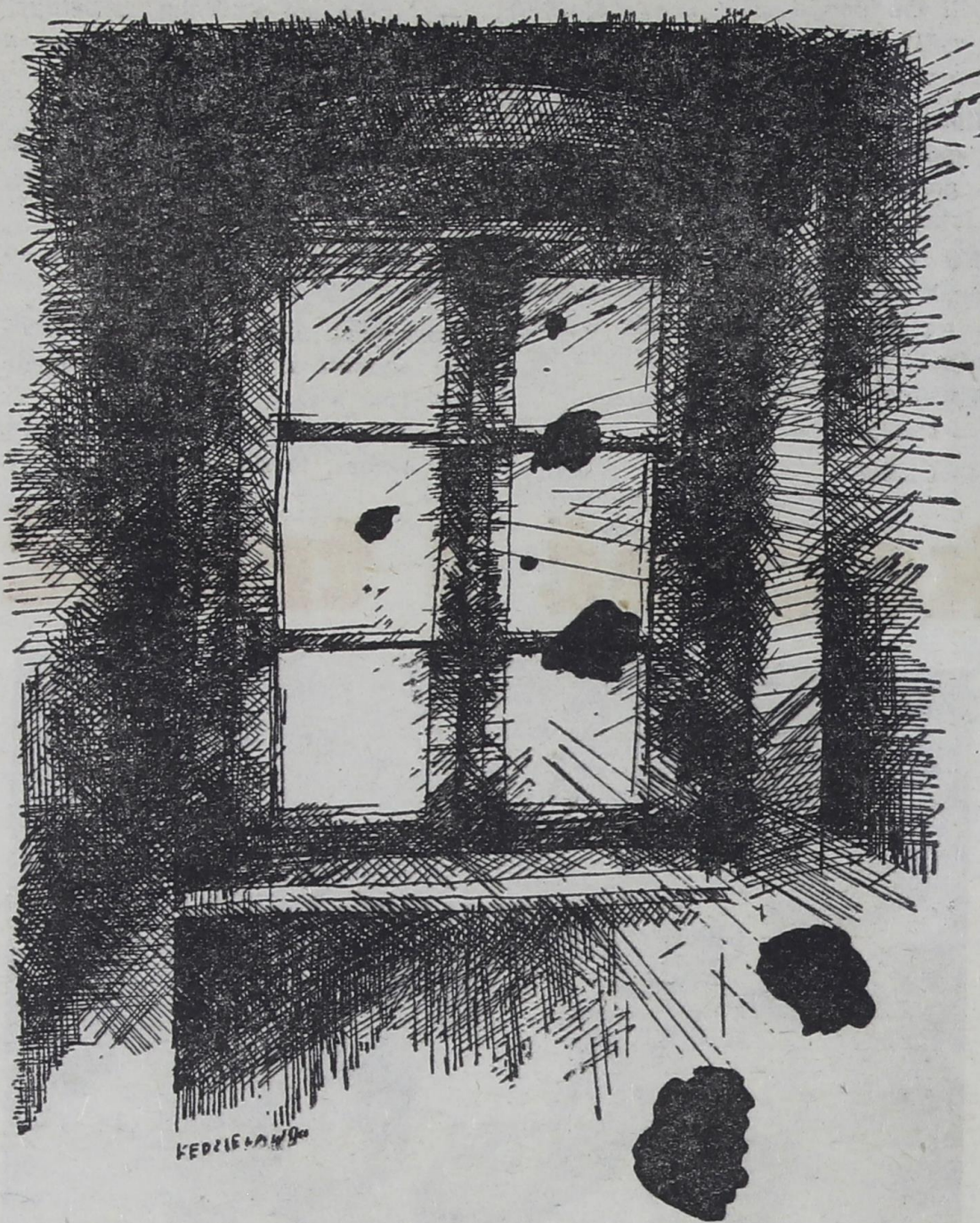
Kocham Cię — A gdy cię spotkam,
Udaję, że Cię nie kocham.

Zginę przez ciebie — nim zginę,
Krzyknę, że ginę przypadkiem.

CYRYL z Myslenic
(nazwisko znane redakcji)



naszego Boga



Rys. STANISŁAWA KĘDZIELAWSKIEGO

MAKS: Właśnie. W ten sam sposób, jak ty, myślisz i postępuje ogromna większość ludzi. Można by przyjąć, że ludzie na ogół albo myślą tak, jak ty, albo znajdują się po ogryzaniach. I właśnie dzięki temu ten przewrót, który Adam czuje tuż, tuż — nie następuje. I nie następuje już od stuleci, chociaż na dobrą sprawę od stuleci powinien już nastąpić. I cóż? Jest nam z tym najwidoczniej dobrze. Jest nam wygodnie. Dlatego mamy prawo tak patrzeć na świat.

Z drugiej strony ludzi, którzy myślą tak jak Adam, jest niewielu. Na szczęście. Tacy ludzie, kierując się niecierpliwym sądem, służą przy całej swej osobistej szlachetności do wywoływania przewrotów. A przewroty są zjawiskiem raczej przeciwnościcznym.

TEOLOG: Staralem się uchwycić, o co panom chodzi. Przyznaję, że dzięki temu ludzkość poszła w przód, nie poszła wszędy. Rozwlokła się jak wojsko w odwrocie, równocześnie skurczyła.

LUCJAN: Czy nie idziecie jednak zbyt daleko?

TEOLOG: Tym bardziej, że różnica, która obu panów dzieli, w istocie jest niewielka i wymaga wnikliwości, jeśli się chce ją dokładnie uchwycić.

ADAM: To wszystko w niczym nie zmienia postaci rzeczy. Chodzi o to, że on jest doskonale pewny siebie i doskonale przekonany o słuszności swej postawy.

A ja... a ja od jakiegoś czasu... nie mogę wybrać.

Pukanie do drzwi.

ADAM: Proszę. A, to pan. Pytałem już o pana.

Człowiek nieznajomy nikomu.

Proszę, to moi towarzysze. Ojciec Kazimierz, Pani...

NIEZNAJOMY NIKOMU (kłania się z daleka głową): Pozwoli pan, że oglądnę pańskie obrazy.

ADAM: Jak pan woli. (Wracając do przerwanej rozmowy):

— Nie mogę wybrać... zdaje mi się, mało — jestem głęboko przeświadczony, że to wszystko razem to nic innego jak ciągła ucieczka.

STANISŁAW: Ucieczka?...

ADAM: Tak. Ucieczka.

STANISŁAW: Przed kim?

ADAM: W pewnym znaczeniu przed sobą samym. Ale nie. (snuje)

Przecież Maks także jest sobą, Maks także żyje w tym samym świecie co ja, co każdy z nas. A Maks nie musi uciekać, nie ma poczucia, że jest ścigany... A zatem to nie jest... ucieczka przed sobą samym.

MAKS: Oczywiście, zapewne ucieczka przed odpowiedzialnością. Tak? Ciekaw jestem, w jaki sposób ja mogę być odpowiedzialny za obywatela, który zmarnował swoje życie i teraz jest na dnie?

ADAM: Ty ciągle myślisz, Maks, że układ ludzkiej nędzy odpowiada układowi kary...

No, mniejsza. Ale to nie jest tylko ucieczka przed odpowiedzialnością. To jest ucieczka przed czymś, a może raczej przed kimś w sobie i przed kimś w tamtych wszystkich ludziach.

TEOLOG: A? Przed kimś w sobie i w nich?

ADAM: Tak. Ta ucieczka jest mocno męcząca. Wszystko, co dotychczas usiłowałem uczynić, było to jedynie ośmieszanie się. I dlatego ucieczka jest męcząca. Ciągłe otwieranie się we mnie jeszcze coś, co dotąd było zamknięte, czego dotąd strzegłem, o czym nie wiedziałem...

Od pewnej chwili to staje się jasne — i pędzi. A ja ciągle uciekam. Nie bronie się. Nie wiem, jak się bronić.

Czuje, że należałoby przejść do natarcia.

Na to trzeba by jednak całkowicie zmienić...

TEOLOG: A więc jest to stopniowe rozjaśnianie... i nacisk.

ADAM: (chwila skupienia): Tak — można by w ten sposób powiedzieć. Stopniowe rozjaśnianie — i nacisk. Ale ta jasność boli. Za każdym razem boli głębiej.

TEOLOG: A pan broni?...

ADAM: Czy ja wiem czego bronię? Bronię prawa do widzenia świata po swojemu. Nie tak, jak widzi Maks, ale jak widzi ogromna większość ludzi. Prawda, Jerzy? — Za parę groszy, za złotówkę tu, za złotówkę tam — prawo do spokojnego zamykania w sobie tych wszystkich przewrotów, tych wszystkich napięć. Do oddzielenia się od nich.

Do spokojnego stania przy sztalugach. Za złotówkę tu... za złotówkę tam... do zamykania wszystkich przewrotów świata w swoim oku. W swoim malarskim widzeniu...

A z tego wszystkiego nic. Bo znów otworzy się jakieś światło i trzeba uciekać. I znów... i znów. Rozjaśnianie i nacisk.

STARSZA PANI (szepem do syna): Zwracałam ci na to uwagę, Kaziu. To dość widoczne w jego obrazach.

TEOLOG (mówi przed siebie, ale raczej do Adama): To może być powołanie.

ADAM: Do czego?

TEOLOG: Nie wiem. Musi pan w dalszym ciągu wytrwale uciekać.

ADAM: Tak? (po chwili, jakby się budził): Nie. Darujcie. Jakże można w taki sposób roztkliwiać sobą drugich? Nie. To stanowczo nadużycie.

A, o czymś my to rozmawiali... No więc tak... Maks, masz bezwzględnie sporo słuszności. Ale widzisz, nie każdy może tak jak ty.

MAKS: Uważam, że powinienem malować za wszelką cenę. Powinienem sobie zadawać gwałt.

ADAM: Na to by trzeba jeszcze wierzyć w sztukę, tak jak ty!

MAKS: A ty co?... Myślisz może, że się od niej uwolnisz? Myślisz, że to całe zebractwo przedsięwzięcie skończy się inaczej niż kilku nowymi płótnami, które będą bardzo ciekawe, bardzo wnikliwe, które zrobią wielkie wrażenie i rozpoczną nowy okres twórczości?... O! i wszystko.

PANI HELENA: I wtedy okaże się, jak owocną była cała ta męczarnia, która pana toczy od miesięcy, panie Adamie.

LUCJAN: Obawiam się, że pani się myli —

ADAM: Ja również...

PANI HELENA: A ja jestem pewna, że nie. Wtedy to wszystko dopiero nabiera znaczenia, zyskuje pełną wartość. Z kolei to przeżycie przenosi się w nasze posłannictwo. W końcu udzielamy tego innym, zanurzamy ich, jeśli tak wolno powiedzieć, głębiej w strumieniu piękności...

JERZY: ...który przepływa przez nas... Czyż mam dokończyć zdania poety?

PANI HELENA: Poeta się myli. Ja świadczę przeciwko niemu. Ca-

łym życiem świadczę, całą twórczością.

ADAM: Jedno i drugie ma cenę ogromną. W tym wypadku jednak — daruje pani — jest to ogromnie mało.

PANI HELENA: Mało... w jakim znaczeniu?

ADAM: No tak, mało. To znaczy... widzi pani — tym nie można wypłacić wszystkiego.

PANI HELENA: Nie rozumiem.

ADAM: Jakby to rzec? — No więc... Proszę mi powiedzieć, ile pani kosztuje Ofelia lub Lady Makbet? —

PANI HELENA: Ile mnie kosztuje?... Kosztuje mnie w pewien sposób całe życie. Tak... ale to dziwna wymiana, dziwny wykup. Za każdym razem płacę pełną cenę i za każdym razem płacę ponownie.

ADAM: Tak, to rzeczywiście dziwny wykup... (nagle) Otóż, widzi pani, ja za tę cenę nie mogę się wykupić —

PANI HELENA: Komu? Sobie?

ADAM: Nie jestem sam.

— — —

Przerwa. Wszyscy milkną, jakby skupieni w ostatnim słowie.

TEOLOG: Rozumiem. (Do matki): Pan Adam zapewne daruje, że zabraliśmy mu tyle czasu.

ADAM: To raczej ja zabierałem.

STARSZA PANI: Tymczasem musimy pożegnać. Życzymy panu jak najlepszych osiągnięć.

ADAM: Dziękuję. Po stokroć dziękuję.

Starsza Pani i Teolog wychodzą.

LUCJAN: Trzeba jednak stwierdzić. Adam, że stajesz się sławny. Coraz więcej ludzi odwiedza twoją pracownię.

MAKS: Jeśli wliczyć do tego domokraców i żebraków, sława urosła w nieskończoność.

PANI HELENA: Muszę panu powiedzieć, Adamie, że szczerze podziwiamy to pańskie oddanie dla najuboższych.

MAKS: Znów będę musiał się pani sprzeciwić, chociaż nie przychodzi mi to łatwo. Ale — nie można służyć równocześnie dwóm podziwom. Odkąd Adam — jak pani powiada — oddał się najuboższemu, co skądinąd jest godne podziwu, odtąd płótna stanęły. Czyżby przestały być wyrazem jego widzenia?

PANI HELENA: Sądę, że nie. Nikt nie zdoła wyrwać z jego wzroku tego widzenia.

ADAM: Ma pani słuszność. Czasem jedno widzenie najzupełniej wystarczy...

(Przerwa.)

PANI HELENA: Dlaczego nie dokończył pan ostatniego zdania, Maks?

MAKS: Bo zdania tego nic już nie zdoła uzasadnić. I dlatego powtarzam: nie można służyć równocześnie dwóm podziwom, pani Heleno.

PANI HELENA: Ale skoro one narastają, dopełniają się w jakiejś nadzrodnej całości?

No cóż, panowie? Spotykamy się na wystawie pana Stanisława.

STANISŁAW: Oczekuję. Pani Helena wychodzi z mężem.

STANISŁAW: Wiesz już chyba, Adam, że umarł Andrzej?

ADAM: Podczaski? Stary druh z powstania.

STANISŁAW: Trudno było inaczej. Andrzeja musiały dobić te dawne powstańcze suchoty.

ADAM: Pamiętam tę przeprowadkę przez Pilicę — byle tylko dopaść skraj lasu... Wtedy strzaskali mi nogę.

LUCJAN: Swoją drogą, Adasiu, mógłbyś i ty bardziej uważać na siebie. Śmierć powstańcza jest u parta. Z pewnością nie masz już dawnego żołnierskiego zdrowia. A te twoje włóczęgi o głodzie do wieczora, Bóg wie gdzie, też ci go na pewno nie przysporzą. Elżbieta bardzo martwi się o ciebie.

ADAM: O, dziękuję. Zawsze wasz dom był mi poniekąd rodzinnym.

LUCJAN: Może zajdziesz kiedyś w tych dniach? Nie pokazujesz się od tak dawna. Moglibyście przyjść razem ze Stanisławem.

No, a teraz to my już chyba pójdziemy, pani Stachu. Prosił mnie pan, aby jeszcze załatwić tę sprawę w Związku. Możemy wstąpić od razu.

STANISŁAW: O, chętnie — Adam, do zobaczenia jutro.

Wychodzą.

Chwila milczenia. — Pozostał ów człowiek nieznajomy nikomu. Poczernie nie brał udziału w dotychczasowej rozmowie. Przesuwał się z wolna od obrazu do obrazu, z wyrazem znawcy.

NIEZNAJOMY: No, więc teraz byłoby do omówienia nasze sprawy.

ADAM: Daruje pan, że musiał czekać tak długo.

NIEZNAJOMY: Było mi to najzupełniej na rękę. Pomogło do wykończenia analizy.

ADAM: Analizy? —

NIEZNAJOMY: Tak. Daruje pan, że nawiążę do poprzedniej rozmowy, której byłem tutaj świadkiem. Nie jest to wprawdzie zbyt wytworne podsłuchiwanie rozmowy, w której się nie bierze udziału, ale ja całe moje życiowe zadanie w dużej mierze opieram na podsłuchu. Pan również.

ADAM: Nie przypuszczam.

NIEZNAJOMY: To znaczy — pan nie podsłuchuje cudzych rozmów, jak ja. Mimo tego pan żyje z jakiegoś podsłuchu. Nieraz myślałem o tym i zastanawiałem się nad tym, w jaki sposób mógł pan podsłuchiwać tyle prawd, prowadząc równocześnie życie tak rozróżnione. Stanowi pan dla mnie poważną zagadkę — muszę panu powiedzieć na wstępie.

ADAM: Zupełnie nie rozumiem, o co panu chodzi. Najpierw: podsłuch. Więc przyjmijmy, że pan podsłuchuje rozmowy. Wiem o jednej, którą pan podsłuchiwał. Dość trudno zresztą było postąpić inaczej, skoro rozmówcy nie zechcieli ściszyć nieco swych głosów, zważając na pańską obecność. Sami przez to wydali się na łup owego podsłuchu. Przypuszczam zresztą, że bez większych zastrzeżeń. Czy nie zna pan nikogo wśród nich?

— Owszem, z imienia prawie wszystkich: są to ludzie sławni. Osobiście nikogo. Nigdy nie prowadziłem podsłuchu w tych kołach...

— Zatem sami są sobie winni.

— A teraz pozwól pan, że wydam pewien sąd. Wobec pana będę mówił to, co myślę. Zrzekam się prawa do ukrywania moich myśli. Nie czynię tego z sentymentu, ale po prostu dlatego, że tak wynika z moich założeń względem pana.

— To znaczy?...

— Będzie dość zabawnym określić, o ile wszyscy ci rozmówcy mylą się co do pana. Powtarzam, wchodzimy bezpośrednio w krąg moich założeń. Muszę wiedzieć, gdzie inni błądzą, aby uniknąć ich błędów. Chodzi o sprawę, która mocno przeraża ich wspólny niepokój.

(Przerwa.)

Rok 1981 Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosiła międzynarodowym rokiem ludzi ułomnych. W kulminacyjnym dniu obchodów, 20 marca, będą przemówienia, dyplomy, uśmiechy. Również w Łomży...

„No, co mi zostało? No? No, co? Mam 32 lata. Życia!? Parszywej wegetacji. Bodaj posmakowali tego śmierdzącego istnienia jaśnie panowie urzędnicy! Stoczysz się na dno, a nie pomogą.”

Od urodzenia przebywał w domach dziecka. Na zmianę: Łomża, Zambrów, Gołdap. Później brała go na wychowanie starsza pani. Brała, gdyż bywał u niej co jakiś czas, potem musiał wracać do sierocińca. Żył zbyt biednie, aby utrzymać go bez przerwy. Miał 17 lat, gdy zginęła pod kołami pociągu.

Pokazuje świadectwo ukończenia dziewiątej klasy ogólniaka. Na tym formalnie poprzestał. „Dlaczego? A łatwo podołać życiu, gdy w pięć dni od urodzin zapada się na chorobę Heinego-Medina; gdy zostaje po niej na zawsze paraliż mowy, ręki, nogi; gdy młodość podrywa do życia, a los uraga: kaleka; gdy nie masz rodziców, rodziny, przyjaciół, ale masz biedę; gdy chcesz być jak inni szczęśliwy, gdy... gdy...”

Pochylił się nad wystygłą herbatą w przedpołudniowej kawiarni bezradny wobec dalszych słów.

Zna to miejsce. Przez 12 miesięcy był szatniarzem. Prawie równieśnik tutejszych bywalców. „Dla nich zabawa, dla mnie wieszaki. Wtedy była tu speluna. Praca zbyt ciężka. Wytrzymałem rok. Musiałem wytrzymać. Przecież zarabiałem 750 złotych, a renty miałem tylko 1300.”

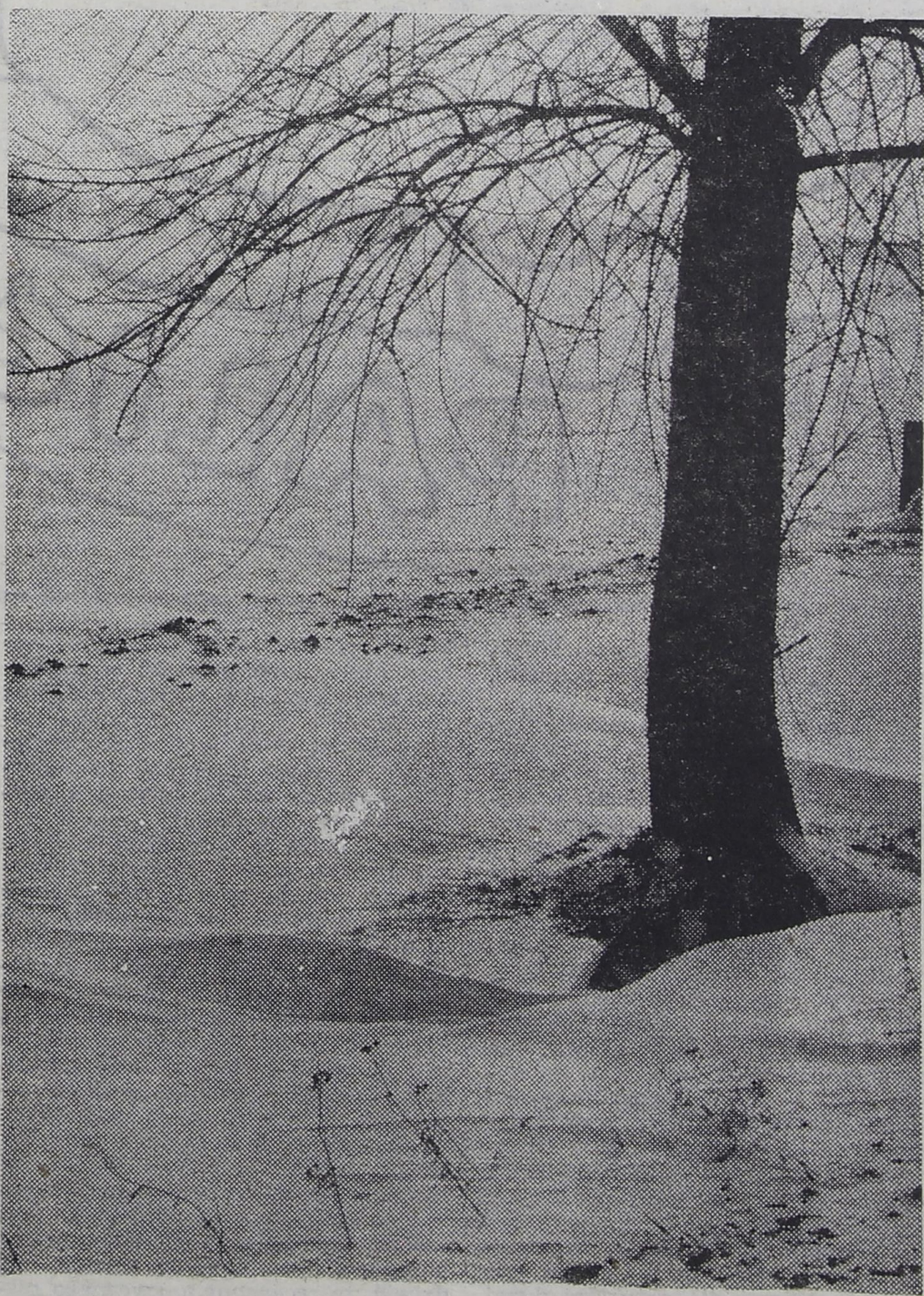
Gdy przerwał naukę, chwycił różne prace, najczęściej dozorcę. Wkrótce został dorosłym obywatelem — bez środków do życia. O posadę było coraz trudniej. Z Zambrowa przeniósł się do Łomży. Zamieszkał w mansardowej landarze u kolegi. Trochę zarabiał jako stróż nocny. Próbował kontynuować naukę w liceum dla pracujących. Raz, drugi, trzeci. Nie dał rady. Nękała go świadomość braku perspektywy. W tym czasie dużo czytał. Beletrystykę, prasę. „Szukam w książkach ludzi mogących być dla mnie wzorem moralnym. W tym upatruję wartości literatury. Sądzę, że pisarz tworzący postaci daje w nich obraz siebie. Realnego. Czuję się wtedy pokrzepiony duchowo. Myślę: jeżeli są tacy ludzie na świecie, to przecież ja również mogę być mocny wewnętrznie, etycznie doskonały”.

Los szydził z niego bezlitośnie. Znowu trafił do domu dziecka. Na trzy lata. Jakby mało było okaleczonego dzieciństwa i oszpeconej młodości. W poszukiwaniu pracy desperacko zgodził się być woznym-zaopatrzeniowcem za 1100 złotych i małe mieszkanie. Przez trzy lata ciągał drewniany wózek. Dzień w dzień po dwa kilometry. Ponad siły. Jak koń. Ulicami Łomży z wózkiem po żywność. A na chodnikach też młodzi. Zadbani. Wesośli. Mówiący o wakacjach we Francji. „Nie wstydzę się żadnej pracy. Tej także. Nie ja ją rzuciłem, mnie wyrzucili. Kupiono Nyse, człowiek niepotrzebny, moje mieszkanko — owszem.”

Postawił się. To już jeden z jego ostatnich zrywów. Zażądał od kierowniczki domu dziecka znalezienia innego zajęcia i mieszkania. Wyszukała lokum. Przyznane oficjalnie decyzją prezydenta miasta Łomży z dnia 8 października 1976 r. na urzędowym papierze z pieczęcią. Strych. O pracę znowu walczył sam. Wyczekiwanie w przedpokojach gabinetów, taksujące spojrzenia, komentarze, wspomnienie wózka — postanowił uzyskać rentę inwalidzką. W Łomży orzeczenie brzmiało: „Nie kwalifikuje się do świadczeń pieniężnych dla upośledzonych fizycznie.” Znajomi podpowiedzieli: Zambrów. Dostał III kategorię inwalidzką i... 1300 złotych miesięcznie na życie. W 1976 roku! (od tego — po podwyżce... 1690). „Mnie nikt nie badał, za to badano papierki: ile przyniosłem, czy z podpisami, od ilu lat zbierane. Więc potem była ta szatnia w kawiarni, a następnie — sezonowa sprzedaż wody sodowej z ulicznego saturatora. Zarabiałem 1500—2000 miesięcznie. We wrześniu skończył się pięciomiesięczny sezon, a z nim — pieniądze. Do pracy mnie nie chciano. Mówiono, że nie ma. Wszędzie. Ile można prosić naprzykrzać się, obnosić swoje niepełnowartościwość. Ja nie potrzebuję ich litości. Chciałem pracować. Na ile mam. Nie mam silnych nerwów. Jestem testem wrażliwy, choroba



ułożyć skopanego w malowniczej pozie



i warunki życia zrobili resztę. Czulem się w rozmowach z urzędnikami dotknięty ich niehumanitarnym podejściem, zamykałem się wtedy w sobie, a z biur uciekałem”.

Dał się namówić na wizytę u doktora. Strzępem nadziei uczepił się tej propozycji, gdy przypadkowo nawiązaliśmy rozmowę poprzedniego wieczoru na placu Żeglickiego. Jeszcze raz uwierzył.

Nazajutrz, w kawiarni, był tylko upewniony w dotychczasowym mniemaniu. „Nie dadzą mi pracy. Lekarz powiedział, że kłebek nerwów i że nie nadaje się do żadnego zajęcia”. Cedził gorzką herbatę i słowa: „Żeby nie Kazik, zdechłbym z głodu albo wylądował w Choroszczy. Po sezonie na wodę sodową nie miałem znów roboty, ale zachowałem mój strych — mieszkanie. Wprowadził się do mnie, też samotny, po przebytych chorobach. Jest dozorcą. Ma sześć tysięcy miesięcznie i dzięki temu wspólnie gospodarujemy. O pracę dowiadywałem się od czasu do czasu, ale naprawdę miałem tego dość. Zbywali mnie byle czym. W Spółdzielni Inwalidów „Razem”, po długich staraniach, zaproponowano mi szyć piłek plażowych. Przyjąłem, nie zważając na niesprawną rękę. Po dniu zrezygnowałem. Inni zrobili kilkanaście piłek, gdy ja skończyłem jedną, bo dłoń przypominała o swoim niedowładzie. W połowie 1980 roku dowiedziałem się, że owa Spółdzielnia daje skierowania do pracy w browarze. Wykrętnie odpowiedziano mi, że mógłbym tam spaść ze stromych schodów. A chodziło im o jedno: że będę pić. Bali się powiedzieć prosto w oczy. Nie wypieram się. Czasem piję, ale trzeba zapytać, dlaczego?”

Powtarza to pytanie następnego dnia, w swojej norze na poddaszu, gdy ja patrzę na małe okienko, rurę kanalizacyjną, zionącą fetorem, spadzisty, pilśniowy sufit z kropkami deszczu nad starą szafą, dwa żelazne łóżka, węgiel w rogu izby, piec, stół i dwa zwykłe krzesła — majątek na dwunastu metrach kwadratowych. Idąc za moim wzrokiem dodaje: „Piwnicy nie mam, ubikacja po drugiej stronie ulicy, woda — zimna — też”.

Ożywiła go moja wizyta. Zaczepnął wody z wiadra na herbatę. (W drugim rogu — kubek asenizacyjny). „To drugie piętro. Trudno mi z tą nogą wychodzić. A w nocy? Na korytarzu stać nie może. Przeszkadza gospodyni”. Zaczyna wrzeć woda na małej elektrycznej kuchence. O gazowej, a choćby kaflowej — nie ma co marzyć.

„Od roku 1976 staram się o lepsze pomieszczenie. Wiele podań leży w Urzędzie Miejskim. Od pięciu lat nie było żadnej komisji. Natchnione duchem odnowy — przyszły ostatnio aż dwie. Jedna obejrzała lokum i skwitowała lustrację słowami: „Trzeba codziennie nachodzić Urząd Miasta, bo inaczej mieszkania nie dadzą”.

Nalegam na spotkanie następnego dnia. „Przecież nie chodzi o artykuł, ale o konkretną pomoc. Spróbujemy jeszcze raz”.

Do Spółdzielni „Razem” wchodzimy we dwóch. On mówi, ja stoję z tyłu. Dziwne, ale praca się znajduje. Z miejsca. Łut szczęścia czy...? Nie ważne.

Teraz mieszkanie. Referentka do spraw lokalowych Wydziału Gospodarki Terenowej Urzędu Miasta w Łomży chce pomóc. „Od niedawna prowadzę dział spraw mieszkaniowych. Tej kwestii nie znałam szczegółowo. Niech zgłosi się ten pan około 15 lutego. Będą wtedy przydzielane lokale, chyba znajdzie się dla niego pokój z kuchnią, tyle że z wodą na korytarzu”.

Umawiamy się na najbliższą niedzielę. Będzie czekał. Na każde spotkanie przychodzi punktualnie. Polega. Jeszcze raz daje się namówić na podjęcie starań. Ma już obiecaną pracę. Powiem mu, że może liczyć na mieszkanie. Do połowy lutego będzie żywił się zapewnieniami.

A potem... Potem nastąpi ów oczekiwany moment. Twórcza praca, szacunek personelu, wyjazdy na sanatoryjne leczenie w atrakcyjnych miejscowościach, powroty do własnego M-2 (nareszcie pełna kultura: parter, łazienka, ciepła woda, centralne!)

Nastąpi. Oczekiwany moment. Kulminacyjny dzień 20 marca, w międzynarodowym roku ludzi ułomnych. Również w Łomży...

JULIUSZ ŚWIĘDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

11

KONTAKTY
15 II 1981

interwencja



jak powinien wyglądać marksistowski czajnik z gwizdkiem

Zawsze myślałem: czajnik — to czajnik. Byle pojemny, w razie potrzeby szybko w nim wrzało i gwizdał o tym w stosownej porze. A przecież...

Wystarczy zacząć od apodyktycznego zaliczenia danego bytu do światopoglądowej kategorii. Tak, jak to czyni Komitet Miejski PZPR w Łomży. Napisał on do mnie per „towarzyszu”. Jaki ja „towarzysz”, skoro do partii nie należę? Wprawdzie do Jana Pawła II związkowej w Brazylii mówili „Towarzyszu Papieżu”, ale ten zwrot miał wówczas inny sens i nie był on wcale groteskowy. Zbieżność papieskich poglądów społecznych z myśleniem robotników w Brazylii wręcz prowokowała do takiego określenia, które ponadto może się odnosić wyłącznie do członków partii. Tak przynajmniej definiuje ten termin „Słownik języka polskiego” pod redakcją Witolda Doroszewskiego: „Towarzysz to członek partii lub organizacji robotniczej; forma używana przy zwracaniu się do członka partii lub organizacji robotniczej”.

Jak zatem odnieść się do człowieka spoza tych kręgów? Chociażby przez „Pan”, „Pani”. „U nas Panów nie ma” — rzekł tuż-powojenny urzędnik z awansu do ob. Pankracego Pankrasińskiego, pisząc mu w papierach: Kracy Krasiński. „U nas panów nie ma” — stwierdził po latach Komitet Miejski PZPR, adresując do mnie list z pozycji klasowych.

Nie o takich panów chodzi. Rzecz nie w panowaniu materialnym, lecz — duchowym. „Pan” — to ten, kto decyduje sam za siebie w najintymniejszej, podstawowej sytuacji swego istnienia i wyboru celu własnego życia. I ta możliwość samodecydowania stanowi o godności człowieka. Zwrot „Pan” jest określeniem jednostki ludzkiej w jej istocie: godności.

Wspomniany adresat poinformował mnie w dalszej części epistoły, iż zaliczony zostałem w poczet słuchaczy Wieczorowego Uniwersytetu Marksizmu-Leninizmu. Ki diabeł? Nikt o zgodę mnie nie pytał. I wtedy brak owego „pan”, nad którym bo-

leję od minut kilku, stał się dla mnie poniekąd zrozumiały. Po prostu: nie mam nic do powiedzenia, jestem zaliczony, koniec, kropka. Przez rok na polu studiowałem, na polu uczyłem się przedmiotu filozofii, (prawdziwych studiów wszak u nas już nie ma), przez rok z doktorantami filozofii słuchałem profesora Kuczyńskiego o niuansach nauk Marksa, Engelsa i innych współczesnych. Wreszcie 2 razy w życiu poważnie decydowałem się na pięcioletnie studia filozoficzne (a wszystko to „stacjonarnie nie zaocznie i nie w Siedlcach”). Ogólnie zaś żyłem się z medytowaniem na własny użytek, jak z pustką w sklepach mięsnych, czując jednak niechęć do wszelkich uczelni, w sumie zdobyłem taką znajomość przedmiotu, by samodzielnie móc rzec, któredy. Za to chętnie, w doborowym gronie, posłuchałbym, a może i sam rzekłbym słowo o tym, co budzi wątpliwości lub nie jest jasne w filozofii współczesnej, nie wyłączaając i marksistowskiej; jeszcze chętniej nadstawiłbym ucha, gdyby ktoś głośno te kwestie rozważał.

Targnęło mnie powiadomienie z Komitetu, gdyż stwierdzono w nim dobitnie (choć w domyśle), że jestem osobą bez własnej woli. Autorzy listu widać byli pewni, że ja zdania swego nie mam i trzeba za mnie w życiu zdecydować (A wstyd! „O wszystkim należy wątpić” — to przecież ulubione motto Marksa).

Nie oni jedni tak lekceważąco czynią. Od lat otrzymuję propozycje wstąpienia do partii. A znaczy to: nie uznajemy twojej wiedzy z filozofii markowskiej, nie ufamy, że sam potrafisz określić cel własnego istnienia.

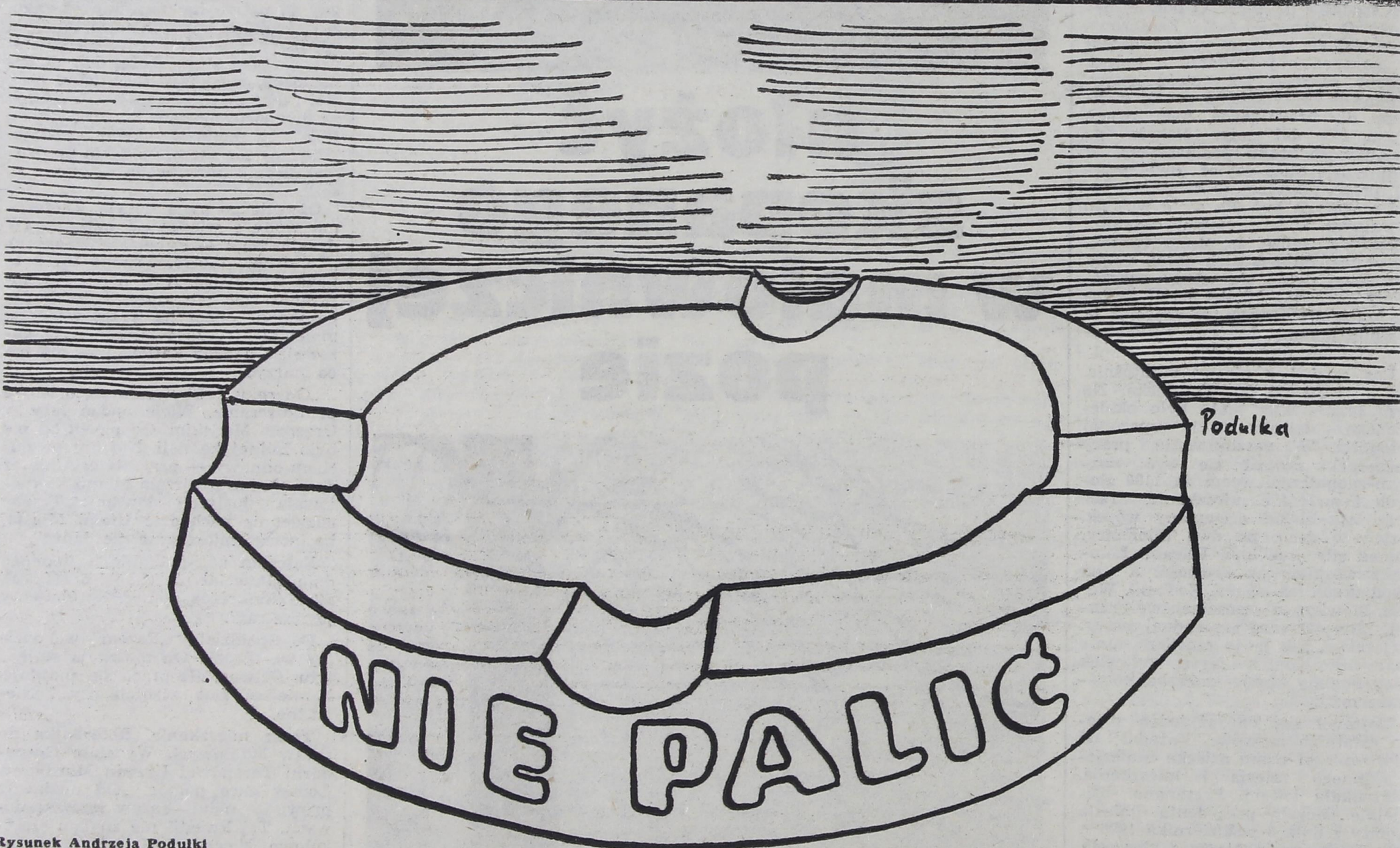
„Złudzeniem jest, że można na-

uczyć kogoś prawdy. Prawdziwe jest tylko to, co człowiek odkrywa sam. Wszystko, co można zrobić, to pomóc człowiekowi w odkrywaniu prawdy przez dialog. Dialog jest nam bardzo potrzebny, a jest on ni-ki” — przeczytałem dziś nad ranem słowa znajomego. Dialog? Ależ on jest! — zawołać. Owszem, nieoficjalny i nie w Łomży. A żyje w tym mieście wielu myślących, wykształconych marksistów, są także mądzy erudyci wśród katolickich księży, znam wyznawców Nietschego i panreligijnych mistyków. Niechże będzie Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu, nie jestem przeciwko (choć nazwy nie wybaczę, słowo „uniwersytet” to za wiele, a jak rozumieć „wieczorowy”, jeżeli list głosił początek zajęć o godz. 13.00? Co jest? Noc polarna? Postulatów w tej materii chyba w Łomży nie było). Nie powinien to jednak być ostatni szczebel w samoukacji światopoglądowej.

Stwórzmy szanse dialogu, bez czekaniami na centralne decyzje. Zaczniemy od rozważania dwóch podstawowych systemów filozoficznych: filozofii Marksa i Engelsa oraz nauki Kościoła. Powołajmy do życia klub lub kluby, w rozumieniu grup ludzkich, spotykające się w Komitecie, PAX-ie, Kurii Biskupiej, obojętnie gdzie, by prowadzić dialog (dialogi). Formy nie narzucam, ale proszę: bez przymusu, megalomańskiej nazwy przybytku i nie w godzinach pracy. Bo ja się z miejsca wypisuję. To co, zaczynamy?

Miało być o czajniku. A nie było?

(Pisane w październiku 1980 r.)
JULIUSZ ŚWIĘDO



Rysunek Andrzeja Podulki

NA PIĘCIOLINI

młodzi malogniewni

Muzyka Młodej Generacji — ktoś kiedyś ukuł w przypływie chwili radosnej twórczości taki termin i pod ten szyld, jakże enigmatyczny, garnąć się zaczęły młodzieżowe zespoły rozrywkowe. Dotąd mówiło się o rocku, bluesie, piosence czy nawet big-beacie, i wszystko było proste. Teraz jest MMG i to w zasadzie oznacza wszystko. Czy to pseudo-punk-rockowy „Maanam” (o którym w tym miejscu już pisałem), czy dylanowski „Porter Band”, czy bluesowo-rockowa „Kasa Chorych”, młodzi czy starzy, brodacze czy ogoleni — Młoda Generacja i po problemie! Naturalnie, nomenklaturowym. A propos: „Kasa Chorych”, czyli Białystok, czyli orgie na widowni, czyli

show na scenie, czyli nowa, mała płytka „Tonpressu” (też pisałem), czyli...

Swojego czasu była to niezła grupa, grająca bluesa zelektryfikowanego, albo inaczej — grupa, która pisała swoje tematy w oparciu o frazę charakterystyczną dla tego gatunku muzyki. Ale „Kasa” pochodzi z Białegostoku, więc ma zakodowany w swojej mentalności kompleks niższości, jako że żaden zespół z tego miasta, a nawet regionu, nie zdobył jeszcze aż tak wielkiej popularności i ta popularność — padając na podłoże kompleksowe — musiała prędkiej czy później paść „Kasie” na mózg. Zbyt szybkie sukcesy — nomen omen — kasowe, zbyt duży szal młodocianej publiczności, spowodowały rozplyniecie się grupy w samouwiebieniu, co widać na ostatnich koncertach, z którymi występuje zresztą nie tylko w naszym regionie. „Kasę” widzimy częściej poza regionem niż na jego terenie i to też jest symptomatyczne dla artystów dużej

klasy, boć przecież Krystian Zimmerman obiecał koncertować w rodzinnej Warszawie nie częściej niż raz na dwa lata. Bo, ileż razy mogą słuchać go ci sami ludzie? Podejrzewając, iż „Kasa Chorych” ma repertuar bogatszy od Zimmermana, rozgrzeszam ją już dzisiaj.

Cóż takiego robi w tej chwili owa supergrupa, zmieniająca skład personalny jak za rękawiczką? (Bynajmniej nie dlatego, że „Kontakty” płaci mi horrendalne, jak na nasze czasy, honoraria, ale dlatego, że je często gubię). „Kasa” na swojej drodze do kariery gubi muzyków, którzy ją kiedyś tworzyli, w związku z czym zmienia się muzyka i zmienia się klimat. Dzisiejszy program zespołu — jak zresztą wielu innych, podobnych — składa się z tych samych utworów, co przed dwoma laty, i to też coś oznacza. Ponieważ zespół nie myśli kategoriami muzycznymi, tylko kategoriami popularności, nałożonej na kompleks prowincji, nie trzeba się dziwić, że recenzent muzycznego pis-

ma „Non Stop”, w artykule „Chorzy na bluesa”, napisał: „Słuchając przez 90 minut jednego głośnego bluesa, granego to szybciej, to wolniej, nie jestem w stanie podzielać zachwytów, jakie wywołują koncerty „Kasy” u wielu ludzi”.

Czasy mamy gniewne, Polskie Stowarzyszenie Jazzowe również wysunęło szereg swoich postulatów, ale muzyczną młodzież mamy konformistyczną. Gniew objawia się w czymś zupełnie innym. Ostatnio przeczytałem w „Gazecie Współczesnej” informację, że grupie odebrano sprzęt za ignorowanie umowy z białostockim dysponentem drogiej aparatury, więc teraz grupa jeździ po Polsce i opluwa niedysydniejszych dobroczyńców. Megalomania połączona z kompleksem wielkości to — wybacz, Czytelniku — trochę za dużo, jak na możliwości percepcyjne zwykłego felietonisty.

JAN JANUSZEK

DZIEWCZYNA: U nas we wsi jest dziadek, który ma osiemdziesiąt lat, dziadek Wincenty, bardzo stary. Chodzi zgięty w pół, ledwie nogami powłóczy. Ziemię trzyma pazurami, nie chce jej oddać nikomu!

DZIADEK: Osiem hektary tutaj jest. Tam jest, o, gdzie te drzewa pod kolejo, pod torem rosno, tam pińć hektary, a tu, ło, kolonia, tu ło, jak tak ło, i tu aż do drogi, tu ło, ze stacji, półtora hektara. Tam za torem już gorsza ziemia, to osim hektary jest. Trzy hektary łonki jest, las, a las to pan widział — jaki, ło, białowiecki las. I nie chce, panie, ło, gospodarzyć... Ja mówię do nich, do synów, do synowych — na Wielkanoc poprzyjeżdżali — teraz wy nie chcecie, ale trzeba pracować na chleb. A chleba teraz nie szanują, nie szanują roli.

DZIEWCZYNA: Synowie poszli do miasta. Najstarszemu synowi pobudował nawet dom obok swego, żeby został i pomagał mu na roli. Ten syn wolał jechać do miasta. Czasami przyjeżdża pomagać dziadkowi, ale latem, i dla rozrywki po prostu przyjeżdża.

DZIADEK: Tak ło — gdzie pojedziesz, tam niedaleko, o, bendzie widać. O, tam Nowosady za tym laskiem, ło, i tam, panie, aż strach: wydłupienie, wszystko poszło do miasta. I mówię, że w mieście źle i ni ma miensa, ni ma nic. Żeb chcieli na roli pracować! Puste domy, puste domy, a ziemia — aż strach patrzeć, aż serce boli, tak... Spójrzeć: toż to chleb, powinny szanować jego, a nie szanują. Hm, aż wprost strach, strach, że to do ruiny dochodzi. Pan zobaczy plony mojego gospodarstwa, jak ja gospodaruję, panie. W moich latach, panie, żeb ja tyło wygospodarowywał, (zgiętk podwórkowy), to wprost dziw. Wziąć tak: toż ja jakieś ponad czterysta tysienicy zdam do rządu, jakieś setkę sprzedam prywatnie, to jest tyż — prawda czy nie? — produkty. Osiemdziesiątka dochodzi, ło, (skrzypnięcie drzwi, szum maszyny). Tu, ło, młynek miele, tu, ło, kartofli gniecio sie, ło, (kwiczenie świń). Czekaj, czekaj! O te, ło, powioze w środe sprzedawać: świni, tamto macioro, osim sztuk. Teraz tu, ło, knur — tu jadalnia, ło, tam spacer, pospacerować chodzi. Doradzili tak, ło, żeb koniecznie taki budynek postawić, nu, eksperymentalny. I na wybieczkę jeździł, to zobaczył, że to dobrze; w Babinie był, niedaleko. I ja zrobił tak.

DZIEWCZYNA: Dziadek, mimo tylu lat, jeździ na wycieczki, jest po prostu takim dziadkiem-wędrownikiem. Lubi także poczytać gazety, książki...

SASIAD: Ja, jako dalej mieszkam, jakieś pińć kilometry, znam tego staruszka. To jest staruszek bardzo oszczędny, nowoczesny. Kupił bukownik taki do koniczyny specjalny, bukownik do młocenia. Oczyszczać koniczynę to cała okolica jechała z daleka do niego, po piendziesont kilometry. On ich nie odgonił, brał te pare groszy, ale chętnie i mile przyjmował, każdego obsłużył.

(Odgłos pracy bukownika)

DZIADEK: Tak, to bukownik do czyszczenia ziarna koniczyn. Koniczyna młoci sie, ziarka, ło. To dobra maszyna. Ja wziął kupił, drogo zapłacił, wtenczas dziewięć tysienicy zapłacił, a to dawno już. Drogo zapłacił, przywóz, no i zaczął ja młócić. Nikogoż nie zapytał się, nie, sam nauczył sie, nu i później, jak nauczył sie, jak zaczęli ludzi iść, ojej! I tu, panie, jeden pozajzdrosił: wziął i dał do tego, do wydziału finansowego, no i przyjechali do mnie, panie, ale nie aresztowali. Kazali robić, i tyle opodatkowali mnie! Oni swojo drogo, gmina swojo drogo, a gmina mogła, panie, mniej i wiecej. Ten finans wziął dwa tysionce, gmina mogła tysionc, a ona mnie cztery, tak dogodził ten przewodniczący, bo przewodniczącym nazywali jego. Dwa tysienicy finanse i jeszcze, ło: jak młócić, to podawać, ile namłócił, a wtedy znów nakładali. I tak patrze: na co ja ben-de robił? Dla kogo? Ja zrzek się ludziom robić i wziął wykasował tego bukownika, i przestał robić.

SASIAD: Pilny bardzo staruszek, takich ludzi dużo byłoby nam potrzebne, ale już teraz bardzo ich skompo. Młodzież daleko się odgarta od tego...

DZIEWCZYNA: Wszyscy wyprzedają ziemię i oddają do kółek, a on dokupuje. Jeszcze niedawno od sąsiada dokupił tej ziemi.

DZIADEK: Taki Głowacki sprzedawał, do miasta wyjechał. To była działka przy moim i tak. (śmieje się) Rolnik bez ziemi co warty, jaki to

rolnik? Ten, o, kawałek ziemi ja wziął kupił, te łonke tyż kupił. Syn mówi, że to daleko jest. Co to, za daleko na traktor? Jedzie się czterdzieści pińć minut, to jak za daleko. To furda!

DZIEWCZYNA: Wszystkie budynki gospodarcze ma nowe, a dom przedwojenny, stary, ale obszerny, drewniany, choć bez wygod. No, może nie ma najgorzej, ale u niego bydłaki mają lepiej niż on.

DZIADEK: To jak, podoba się ta stodoła?

REPORTER: Takiej nie widziałem jeszcze.

DZIADEK: Nie widział, he, he, he. Antek, w jakim roku te stodoły budowali?

ANTEK: Gdzieś w końcu lat sześćdziesiątych.

DZIADEK: No tak, dziesięć lat temu...

DZIEWCZYNA: To jest stodoła bardzo pojemna, bo bez stropu i więcej zmieści zboża. Jeszcze takiej stodoły ja osobiście nie widziałam.

DZIADEK: To dziwne. (śmieje się) A ja jeszcze loszukał sie, trzeba było szersze stawić, choć o metr, to, panie, z przyczepo by zawrócił sie, a zrobił dziesięć metry w środku, trzydzieści długości. W naszej wsi największa... I takiego stylu ni ma we wsi, jak to ło, Ono bez belkow, ło, i to, wie pan, że mocno stoi? Dobry był, znaczy, konstruktor, dobry inżynier wymyślił. (kroki, skrzypnięcie drzwi, ryczenie krów) To, ło, obora moja, tu, ło, mam hydrofor, wodę,

poić bydło; dojarka, ło. Alfa-lawa. Teraz u nas jest insyminacja i ta insyminacja nie zdaje egzaminu. W tej insyminacji mnie bydlił krowy, znaczy; dwudziestego siódmego był insyminator na weselu — no, już odroczenie. Jak powiedzieli, że na weselu, to już ni ma co wzywać, wiadoma rzecz. A potem co? Bydli mnie cztery krów, czyli ruje majo, zaciełać sie chce. To ja dzwonię do Porosłów, oni majo tamte swoje siedzibe, i mówie, żeby przyjechali, a on mówi, żeby ja wiozł do Wasilkowa krowy, do byka.

REPORTER: Ile to kilometrów?

DZIADEK: Jaksz sześćsiont! Ja mówie: może jeszcze za ocean, do Ameryki? I to koniecznie trzeba przez Białystok jechać. Czy ja przewioze te krowy przez Białystok? Toż to trzeba przez Kościuszki Rynek, tam traktora nie bardzo żondajo, a czym ja inaczej? No i co, rzucił słuchawke i nic. Byczka, ło, chowam i karali za tego byczka, karali. To ja jeździł aż do Warszawy, do Ministerstwa Rolnictwa. Powiadam, że czternaście krów mam do pokrycia, piętnaście raczej, i mnie pozwolili chować, ło. Sam ten ło, Leon Kłonica sam, co to pod trzysta osiemdziesiont ósmym numerem. Nu, minister pozwolił mnie, bardzo ja wdzięczny za to. I to tak, wie pan, jak tam grzecznie. Boże! „Staruszk, staruszk”, krzesło.

DZIEWCZYNA: Dziadek ukochał tą chyba ziemię swoją i jest jak chłop Ślimak z „Płacówki”.

DZIADEK: To jest silos, ło, mój, a to garaż na sprzent. Jeszcze, jeszcze trochi nie ukończony. O, to grabielnia, tam kosiarka, ło, kopaczka, siewnik zbożowy, tam snopowiązałka, tam sadzarka, ziemniaki sadzić, glebogryzarka, ło. Teraz chciał kupić siewnik ten... nawozowy; nie można kupić. Trudno. Jeszcze ni mam rotacyjnej kosiarki, a niezbendnie potrzebna; rotacyjnej i rozstrzonsacza obornika. Takie ło sprawy. No, a te słupskie kosiarki — uuu, polskie! Nie dokaże jugosłowiańska ani czeska, ni żadna, jak słupska. Słupska dobra, i to tak wygrzyzie wprost z ziemi, jak fryzjer. No, to syn przyjechał... Pan wie, że głupi, bo nie chce gospodarzyć. Cemu on nie chce, głupi? I tak to było u mnie cztery synów; ten najstarszy, a ten, ło, nieboszczyk, był najmłodszy. I poszli obkoszywać żyto. Deszcz popadał, przyszli do domu, krowy byli nie wygnane. Ja mówię: „Wygoń krowy na paświsko”. A on taki był, że on nie ostrzegał się tego prądu, nie ostrzegał się. Jak sucho, to co innego, a troszki było pomoczzone i pastewnik był pomoczony, i on wziął się za prąd, a prąd zabił. To mnie całe nieszczęście, to aj! (płacze) A jak nie ma nastempcy, to wszystko runie. Wszystko runie, porozbierajo ludzie.

DZIEWCZYNA: Były także z nimi rozmowy, z gminy przychodzili do niego, żeby oddał ziemię, bo nie da rady. Jednak on się uparł i został na tej ziemi. Jeszcze nawet pogonił ich...

DZIADEK: Nu, ziemia... Kocham, czemuż nie. Ja wiem, że to fundament życia. Toż to wszystko pochodzi z ziemi: i mienso z ziemi, i mleko z ziemi, i chleb z ziemi, wszystko z ziemi. Ojej jej.

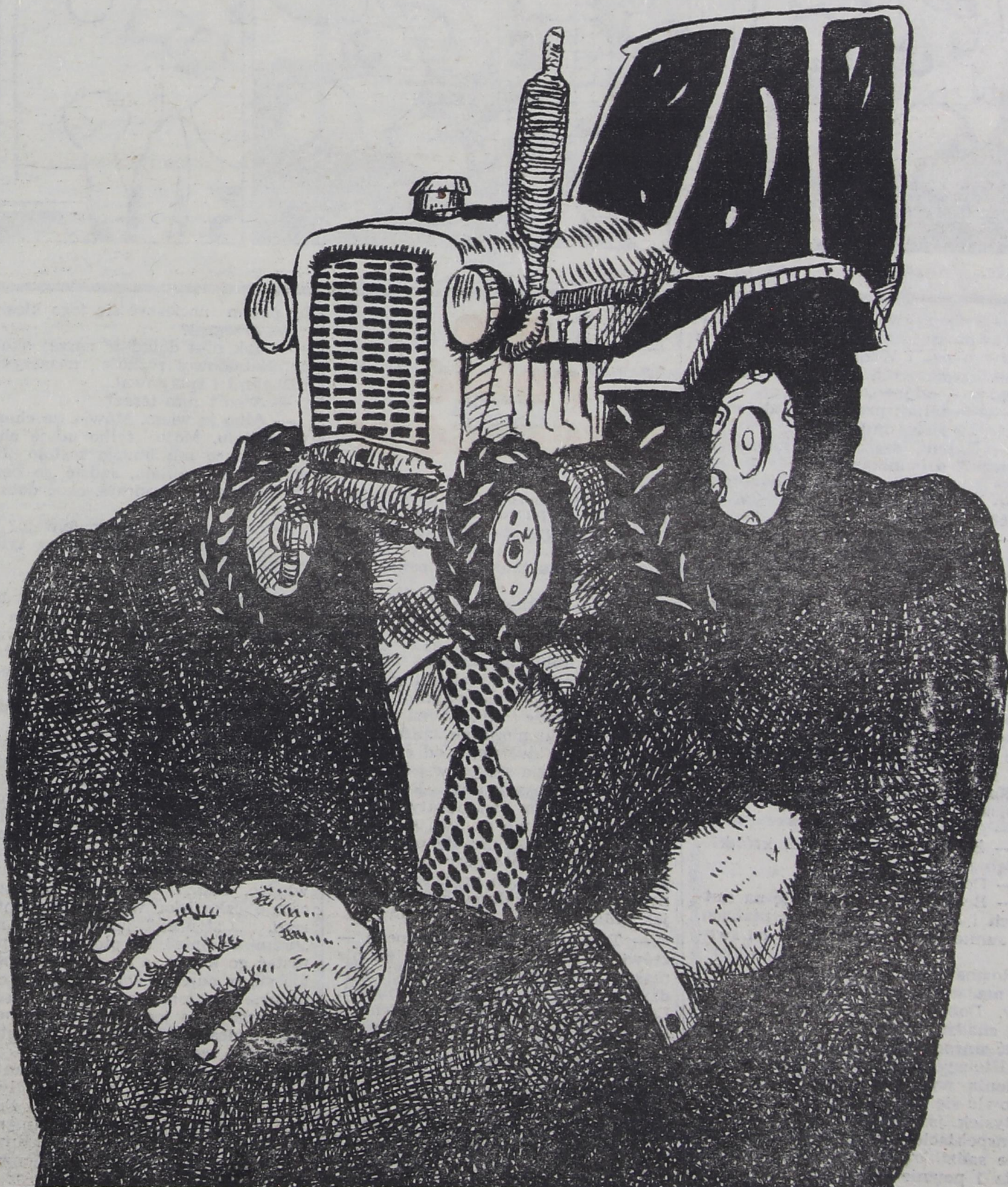
DZIEWCZYNA: Głupiego robota. Po prostu już nosem tą ziemię orze, ale chodzi po tym polu. Chłop Ślimak.

DZIADEK: Nu, sam jeden. I traktor.

TOMASZ PIOTROWSKI

sam jeden i traktor

TOMASZ PIOTROWSKI



Rysunek Andrzeja Podulki

obcyzaje



ponownie o zasiłkach związkowych

Poprzednia informacja na temat zasiłków związkowych okazała się zbyt lakoniczna. Napływa wciąż sporo pytań o zasady wypłaty i wysokość zasiłków związkowych, dotyczących obowiązujących. Jest to o tyle zrozumiałe, że były one ustanowione uchwałą Prezydium CRZZ z 6.IV. 1977 r., jako „regulamin wypłat zasiłków pieniężnych” i nie były publikowane w powszechnie dostępnych publikacjach.

„Regulamin” określał zasady wypłaty zasiłków. Stanowił, że członek związku zawodowego, posiadający co najmniej 3-letni nieprzerwany staż związkowy ma prawo do otrzymania zasiłku w przypadku urodzenia dziecka. Zasiłek przysługiwał jednemu z rodziców. Jego wysokość wynosiła 600—800 złotych. Według tej instrukcji pracownik o nieprzewanym 5-letnim stażu miał prawo do zasiłku w razie śmierci członka rodziny. Warunkiem wypłaty zasiłku było wspólne zamieszkanie w okresie poprzedzającym zgon i pozostawienie na wyłącznym lub częściowym utrzymaniu pracownika. (Warunku wspólnego zamieszkania nie musieli spełniać rodzice i teściowie członka związku). Wysokość tego zasiłku wynosiła 1000 złotych. Zasiłek z tytułu zgonu członka związku wypłacany członkom rodziny wynosił 2000 złotych.

Po wystąpieniu związków zawodo-

wych z CRZZ zarządy główne tzw. „Starych” związków zawodowych (tzn. zarejestrowanych w CRZZ) we własnym zakresie zwiększyły stawki zasiłków albo też uchwaliły nowe regulaminy wypłat zasiłków. Obecnie spotykamy się więc z dużą różnorodnością zarówno co do zasad wypłaty, jak i do wysokości zasiłków.

Aby chociaż częściowo można było zorientować się w nowych zasadach podam kilka przykładów:

— Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Budowlanego uchwalił podwyżkę zasiłków z dniem 1.IX.1980 r. do 1500 złotych z tytułu urodzenia dziecka, przy czym zasiłek mogą otrzymać i matka, i ojciec, do 1500 złotych z tytułu zgonu członka rodziny, do 2500 złotych z tytułu zgonu członka związku.

— Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego uchwalił nowy regulamin wypłaty zasiłków, obowiązujący od 1.I.1981 r. Najistotniejsze zmiany, to obniżenie stażu związkowego, uprawniającego do wypłaty zasiłku i podwyższenie zasiłków. Prawo do zasiłku z tytułu urodzenia dziecka nabywa członek związku po 2-letnim stażu związkowym. Wysokość zasiłku wynosi 1000 złotych. Mogą go otrzymać każde z rodziców. Prawo do zasiłku z tytułu zgonu nabywa się po 5-letnim stażu związkowym. Zasiłek z tytułu zgonu członka rodziny wynosi 1000 złotych, z tytułu zgonu członka związku — 2000 złotych. Nowy regulamin ogłoszony został w pełnym brzmieniu w „Głosie Nauczycielskim” z 30.XI.1980 r.

— Zarząd Główny Związku Zawodowego Pracowników Państwowych

i Społecznych uchwalił, że zasiłek z tytułu urodzenia dziecka otrzymują rodzice — członkowie związku. Wysokość zasiłków ustalono na: 1200 złotych z tytułu urodzenia dziecka, 2500 złotych z tytułu zgonu członka związku, 1200 złotych z tytułu zgonu członka rodziny.

Powyższe przykłady wskazują, że prawo do zasiłków związkowych jest zróżnicowane i zależy od postanowień władz konkretnego związku zawodowego. Związki zawodowe powstałe po sierpniu 1980 r., które zarejestrowały się w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie, nie uchwaliły dotychczas nowych regulaminów wypłat zasiłków. Nie ma też własnego przepisu NSZZ „Solidarność”. Te związki zawodowe przyjmują na okres przejściowy zasady wypłat, które obowiązywały w zakładzie pracy przed powstaniem nowego związku, przyjmując za obowiązujące, najnowsze teksty regulaminów.

Aby ustalić w konkretnych przypadkach, jaki zasiłek przysługuje członkowi związku zawodowego, należy zasięgnąć informacji o podstawie prawnej wypłaty zasiłku przez ten związek branżowy, który działał w zakładzie pracy przed podziałem ruchu związkowego i stosować zasady zawarte w tym przepisie. Jeżeli związek zawodowy podwyższał po 1.IX.80 r. stawki zasiłków — należy wypłacać zasiłki w tej podwyższonej wysokości. Jeżeli zaś związek zawodowy nie wprowadził nowych stawek lub zasad — stosuje się regulamin uchwalony przez CRZZ w kwietniu 1977 r., którego ramowe zasady omówione zostały na wstępie.

dr HALINA SESKIEWICZ

mój debiut

Po reżyserach filmowych oraz literackich, których debiut zbiera się szczęśliwie z czasem przejścia na emeryturę, przyszła pora i na dziennikarzy. Oczywiście zdarzają się chlubne wyjątki, że powołał się na polskiego Woody'ego Allena: Tadeusza Kijańskiego. To cudowne dziecko Zespołu Filmowego „Profil” ma już na swym koncie pięć filmów fabularnych. (Pora na przegląd). „Machejek — sługa boży”, mój faworyt do nagrody Nobla, zaczął wieszczyc w wieku trądzikowatym. Lecz to tylko potwierdza regułę.

Powiecie: „Literaci, filmowcy — owszem, owszem, ale dziennikarze? Przecież większość dostała pióro do ręki ssąc jeszcze pierś matki. Łatwo ich rozpoznać. Rozkosznie gaworzą”.

To prawda. Lecz obok nich rośnie gromadka takich, których jedyni, ale za to wierni czytelnicy wywodzą się z koła Sodalicii Marianańskiej. Należą do tej gromadki już pięć lat (ładny jubileusz). A zaczęło się tak.

Z drżeniem łudek, szczękosciskiem i atakiem biegunki ośmieliłem się przekroczyć próg Redakcji Wielkiego Tygodnika i złożyć artykuł przed oblicze Redaktora, o którym mówiono, że potrafi ostrzyć łysę. Na szczęście mam bujne owłosienie. Redaktor rękopis przyjął i wyznaczył termin odpowiedzi. Gdy nadszedł oczekiwany dzień, pobiegłem do Redakcji niczym zakochany na swą pierwszą randkę. Redaktor kazał usiąść i ożwał się tymi słowami: — Nieźle, młody człowieku. Co nieco się wytnie i pójdzie.

Biurko, redaktor, regał zaczęły mi wirować przed oczami po tym, co usłyszałem.

— Pójdzie — kończył Redaktor — tylko jeszcze nie teraz. Za kilka dni obchodzą Pierwszy Maja i nie możemy psuć radosnego Święta Pracy takim nie optymistycznym akcentem. U was, młody człowieku, robotnicy tacy zgorzkniali, tacy ponurzy. Pójdźcie zanurzyć się w rozentujazmowany majowy pochód, a to wam przywróci właściwą optykę.

Gdy ostatnie „niech żyje” uleciało w niebo i radosny tłum, pijany ze szczęścia, przetoczył się po ulicach miasta, zastukałem do drzwi Mistrza.

— Aaa, to wy. Macie pecha. Właśnie przygotowujemy numer na Dzień Zwycięstwa. Rozumiecie, katastrofizm waszego tekstu...

Nie słuchając dalszych wywodów ruszyłem szparko do domu. Tam gorączkowo zacząłem przerzucać kartki kalendarza. Czerwiec — Dzień Dziecka. Święto Morza, imieniny Piotra... Kalendarz był usiany rocznicami, świętami, zjazdami i obchodami jak pole minowe. Każda następna wizyta w Redakcji miała identyczny przebieg.

Zbliżała się pierwsza rocznica mojej wizyty w Redakcji. Wziąłem do ręki lekko poślizgniętą kartkę i podałem je gruntownej przeróbce. Skrupulatnie ominałem wszystkie kalendarzowe rały. Wyliminowałem także akapit, który nie harmonizował ze Świętem Strzyżenia Owiec oraz Trzecią Rocznicą Zdobywania Świadczeństwa Maturalnego przez Ministra Oświaty.

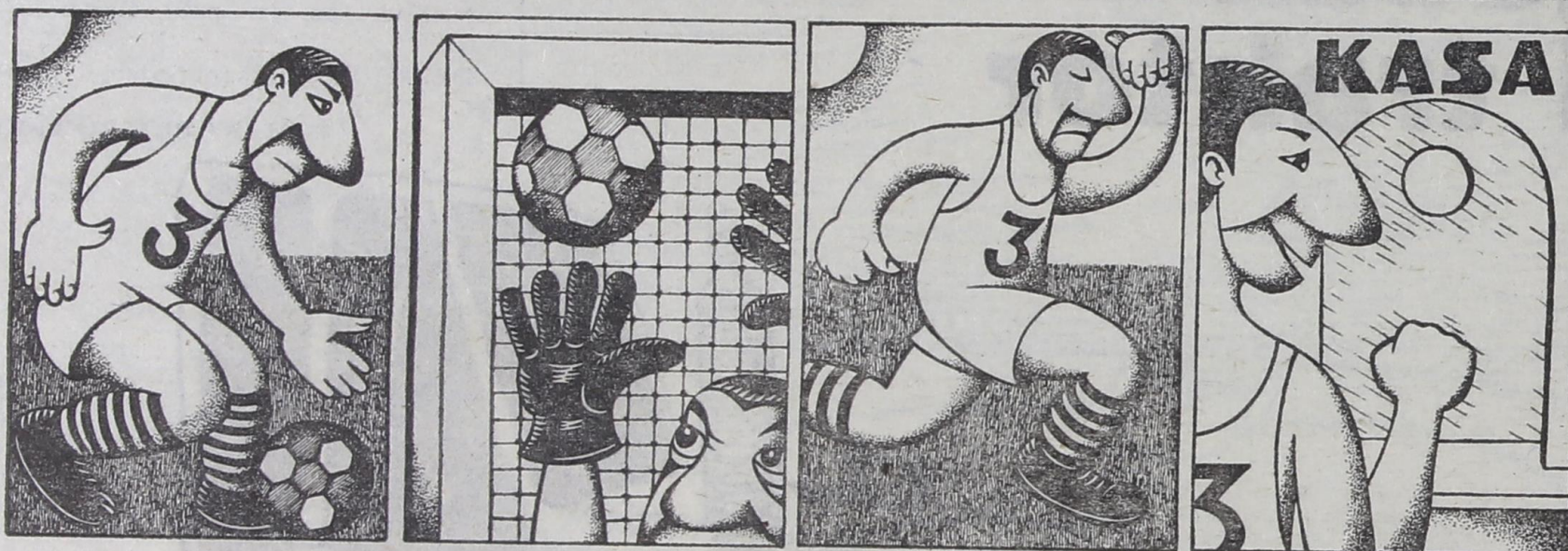
— Widzę, że ten rok dużo was nauczył — pochwalił mnie Mistrz. — Będą z was jeszcze ludzie. Wiecie, może tak znaki zapytania zastąpić wykrzyknikami? Po co zasławać wątpliwości w duszy czytelników?

Po kilku dniach kupiłem Wielki Tygodnik, pachnący jeszcze świeżą farbą, i zatopiłem się w lekturze swego artykułu. Pozwolił sobie zacytować jeden z celniejszych ustępów:

„... dobrze, że...! Wspaniale... gdyż...! Wyśmienicie...! Zadebiutowałem.

ADAM JERZY SOCHA

TADEUSZ MOCARSKI



Rysunek Mieczysława Bukowczyka

— Pożyczysz mi, stary, parę złotych?
— zwracają się do mnie znajomi z Jedwabnego i Wizny.
— Przykro mi, ale nie mam pieniędzy — odpowiadam.
— Nie bujaj, przecież pisali w gazecie, że jesteś milionerem.
— E tam, dajecie się nabrać na „kaczki” dziennikarskie.
— A więc nie jesteś milionerem?
— Jestem, dlaczego miałbym nie być?

— No to pożycz pięć tysięcy.
— Już wam mówiłem, że nie mam. Dla mnie milioner to nie ten, co ma forsa, ale ten, co się tak czuje, jakby miał ten milion w kieszeni. Ot i wszystko.

Dziwią się, kiwają głowami i myślą zapewne o mnie niezbyt przyzwyczajeni. Bo dla nich forsa to grunt, to podstawa, to cel życia. Prawdę mówiąc, ja też wolałbym mieć i rozdáwać, pożyczając, wspomagać. Ale nie mam i dlatego szukam możliwości nabicia kasy.

Kazio wrócił w październiku z wojska.

— Co masz zamiar robić?
— Będę hodował nutrie, króliki i gołębie.
— Dobry to interes?
— Bo ja wiem, co zarobię na nutriach i królikach, stracę na ptakach. W sumie powinienem wyjść na swoje.

Rozmawiam z panią Heleną, która ma wiele interesujących pomysłów. Dobrze są lisy, bardzo dobre, ale chodzić trzeba przy tym. I wachać smrody. Oplaca się trzymać gęsi. Utuczyć, podskubać raz, a potem jesienią wywieźć na punkt skupu i obławić się forsa.

Rysiek jeszcze na wiosnę marzył o inspektach; ogórki, pomidory. W lecie sadził machorkę, ale słabo mu rosła i pewnie nie z tego nie miał. Na owcach i świniach też się dobrze zarabia. Każdy szuka tej jedynej, niepowtarzalnej okazji, która uczyni

nie robić interesów

go milionerem. Bo nikt z uczciwej pracy rąk, z posady czy tradycyjnego gospodarowania niczego dorobić się nie może.

— Porzeczka to dopiero, panie, złoty interes!

— Albo truskawka!

— Na głupim chrzanie też można zbić majątek!

Staszek robi interes na starych samochodach. W tej chwili ma już dwie maszyny obie starutkie i w ruinie. Ale Staszek zna się na tej robocie i powoli mozolnie szlifuje, nituje, spawa, szlakuje, a od czasu do czasu przejeżdża się po wsi którymś z tych nieboszczyków. Rozumuje podobnie jak ja: jest bogaty, bo posiada jednocześnie aż dwa samochody. Zapewne śnią mu się po nocach jako szybkie mercedesy czy fordys. I podróżuje w nich po naszych polnych wyboistych drogach, szczęśliwy jak milioner.

— Trzeba się trzymać jednego — mówi chrzestny. — Nawet jeżeli nie masz z tego żadnych korzyści. Ludzie oszaleli na punkcie pieniądza. Łapią się za wszystko. I to by chcieli, i tamto. Nic z tego. Chytry zawsze jest straszny.

— Bogać to prawda! — oponuje.

— Znałem takiego jednego, co sto srok za ogony na raz chwycił. Nabrał kredytów tu i tam. Wszędzie miał dojeżdżać, to mu dawali, a i ciekawo, byli tego, jak on sobie poradzi z taką kupą gotówki. Oni wiedzieli, że chłopina nie ma głowy do interesów, i dlatego mu dawali, ze-

by potem nacieszyć się jego klęską.

— Przegrał?

— Jak nikt dotąd w naszej okolicy. Nabudował różności, nazaczynał, rozbabrał i splajtował.

— A co z nim teraz?

— Albo ja wiem. Mówią, że chory, w szpitalu. Może tylko udaje chorobę, bo co mu innego zostało. Jak wyjdzie ze szpitala, sędzić go będą chyba. Marnie skończył, choć dobrze zaczął.

— Co to za jeden, znałem go?

— No, jak mu tam, ten no, tylko co mam wymówić...

— Kowalski? Malinowski?

— Mniejsza o nazwisko, to i tak nie ma znaczenia. Powiedziałem ci o nim tylko dlatego, żebyś nie przeholował w tej pogoni za dobrobytem. Już lepiej bądź sobie biedakiem, niż byś miał z tego powodu, że chciało ci się grosiwa, zostać lajdakiem.

Chrzestny ma swoje racje, ja swoje, a ludzie także mają swoje. Jedni robią małe interesy, inni wielkie. Trwa to przez jakiś czas, przez rok, miesiąc, dzień, godzinę, a kiedy interes zostanie zrobiony, kwitnie, rozwija się, następuje odwrócenie ról: staje się on podmiotem, przejmuje władzę, rządzi. Następuje przeistoczenie człowieka w narzędzie interesu. „Człowiek” już wówczas nie „brzmi dumnie”. Bo oto zaczyna porastać go knieja, a on sam przemienia się w odpowiedni okaz flory czy fauny. Znajomi, ba, nawet bliscy, dostrzegają na jego ciele zrogowacenia, owłosienie, poroża, wypustki, kleszcze i szczęki.

Tak, tak, interes robi człowieka w przyszłowiego konia, czasem lwa, zmię, lisa, wilka. I dlatego, żeby nie dawać mu okazji ku temu, nie należy robić interesów pod żadnym pozorem. Nawet jeśli w perspektywie rysowała nam się złudna szansa zostania milionerami.

12.02.1981

TV

18.02.1981

CZWARTEK 12 LUTEGO 1981 r.

Program I
6.00. TTR, RTSS — fizyka, sem. II.
6.30. TTR, RTSS — chemia, sem. II.
9.55. Język polski, kl. VII.
11.00. Język polski, kl. VIII.
11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII.
13.30. TTR, RTSS — fizyka, sem. IV.
14.00. TTR, RTSS — wskazówki metodyczne, sem. IV.

14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Czwartek TDC, m.in. film animowany „Był sobie człowiek”.
17.30. Magazyn Motoryzacyjny.
18.00. Podchorążowie, Armaty, Rakiety — reportaż wojenny.
18.25. Telewizja Młodych: Hsta przebojów książkowych.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Biceps”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Śmiertelny pocałunek” — film kryminalny prod. USA w reż. Roberta Aldricha.
21.50. Pegaz.
22.40. Dziennik Telewizyjny.
22.55. Telewizja w sprawie miliardów.

Program II
10.05. Sonda — „Biceps”.
10.30. Magazyn motoryzacyjny.
10.55. Kino Faktu: Dłgi Wiertow — „Człowiek z kamerą”.
15.50. Język rosyjski, lekcja 17.
16.25. Język francuski, lekcja 17.
17.00. Studio Kwadrans — „Jak kupić pralkę?”
17.15. „Małe młyny też potrzebne”.
17.45. „Iran czasu wojny”.
18.10. „Dwie strony medalu”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. NURT — wychowanie estetyczne.
20.40. NURT — psychologia.
21.10. NURT — matematyka.
21.40. 24 Godziny.
21.50. Wieczór Filmowy.
23.10. Język rosyjski, lekcja 17.

PIĄTEK 13 LUTEGO 1981 r.

Program I
6.00. TTR, RTSS — fizyka, sem. IV.
6.30. TTR, RTSS — wskazówki metodyczne.

8.10. Geografia, kl. VII.
11.00. Dla najmłodszych — „Czarodziejskie siostry”.
13.30. TTR — hodowla zwierząt.
14.00. TTR — uprawa roślin, sem. II.
15.05. Redakcja Szkolna zapowiada.
15.20. NURT — wychowanie estetyczne.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Kółko graniaste”.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.20. Kronika ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży.
17.30. „Milion pogodnych nut”.
17.55. „Pod jednym dachem” (6) — „Sędzia pokoju”.
18.40. Rolnicze rozmowy.
18.50. Dobranoc.
19.00. Telewizja Młodych — o problemach narkomanii w Polsce.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Dobry wieczór, tu Łódź” — „Wieczór z gwiazdami”.
21.15. „Listy o gospodarce”.
21.55. Dziennik Telewizyjny.
22.10. „Wykrytyk” — widowisko satyryczne z Janem Kobuszewskim i Janem Kociniakiem.
22.25. „Nokaut” — jugosłowiański film fabularny.

Program II
10.05. „Pod jednym dachem” (6) — „Sędzia pokoju”.
10.45. „Perypetie wynalazcy” (4, ostatni).
16.00. Język francuski, lekcja 17.
16.30. Język rosyjski, lekcja 15.
17.05. Kino TDC: „Dick Turpin” — „Lowczyni”.
17.30. Klub Jazzowy Studia Gama.
18.15. Male Kino.
18.25. Spotkania Literackie — magazyn informacyjny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Zmierzchn nad Dunajem” (2).
21.35. „Gwiazdozbiór” — Jeanne Moreau.
22.20. 24 Godziny.
22.30. „Lektury z makulatury” — „Lalka”.
22.55. Język francuski, lekcja 17.

SOBOTA 14 LUTEGO 1981 r.

Program I
6.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. II.
6.30. TTR — uprawa roślin, sem. II.
7.00. TTR — hodowla zwierząt, sem. IV.
7.30. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
10.20. Radar.
10.35. Klub Sześciu Kontynentów.
11.00. Człowiek, Ziemia, Kosmos.
11.40. Dziennik Telewizyjny.
12.00. Studio 2.
18.50. Dobranoc.
19.00. Studio 2.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Dom” (5) „Ponad 200 czwartków”.
21.50. Studio 2.

NIEDZIELA 15 LUTEGO 1981 r.

Program I
6.10. TTR — hodowla zwierząt, sem. IV.
6.40. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
7.10. TTR, RTSS — nasze spotkania.
7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.00. Alarm przeciwpożarowy trwa.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. Telewizjada.
8.30. Teleranek, m.in. „Rodzina Leśniewskich”.
10.20. Antena.
10.45. „Główny świat” — angielski film dokumentalny.
11.40. Dziennik Telewizyjny.
12.00. „Dlaczego?” — program Redakcji Rolnej.
12.40. „Co dalej laureacie?” — program Henryka Czajka.
13.35. Telewizyjny Koncert Życzeń.
14.35. „W świecie dzikich zwierząt” — „Słoń morsk”.
15.00. Bajki pana Perrault — „Kopciuszka”.
15.40. Teatr Telewizji — Jan Piasta.

Zygmunt Lech: „Diskjockey” w reż. Zygmunta Lecha.

16.45. Halowy mityng lekkoatletyczny.
17.15. Tele-Echo.
18.15. Halowy mityng lekkoatletyczny.
19.00. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Anna Karenina” (4).
21.10. Sportowa Niedziela.
21.30. „Lista obecności satyryków” — Ryszard Marek Groński.
Program II
9.55. „Krótkofalowiec” — program woj-skowy.
10.25. „Dom” (5) — „Ponad 200 czwartków”.
12.00. Przeboje tygodnia.
13.00. Twórci i jego dzieło — Bertel Thorvaldsen.
13.15. Popołudnie Fauny i Flory.
14.00. Teatr Telewizji — Michał Saliński — „Cienie” — w reż. Wiesława Wodeckiego.
15.50. Georgij Garanian przedstawia.
16.50. Blisko i Daleko — program reporterów.
18.00. „Stereo i w kolorze” — recital Andrzeja Hiolskiego.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Telewizyjny music-hall.
21.20. „Kłopoty z damami” — włoska komedia filmowa.

PONIEDZIAŁEK 16 LUTEGO 1981 r.

Program I
13.30. TTR, RTSS — język polski, sem. II.
14.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. II.

15.20. NURT — porozmawiamy.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Zwierzynek.
16.55. Klinika zdrowego człowieka.
17.15. „Cztery pancerni i pies” (5) — „Rudy, miód i krzyż”.
18.05. Impulsy — magazyn spraw pracowniczych.
18.40. Rolnicze rozmowy.
18.50. Dobranoc.
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Teatr Telewizji — Aleksander Puszkina: „Borys Godunow” w reż. Laco Adamika.
22.15. Dziennik Telewizyjny.
22.30. „Giscard — i co dalej?” — publicystyka międzynarodowa.

Program II

10.00. „Kradzież” — film obyczajowy TVP.
11.05. Klinika Zdrowego Człowieka.
11.25. „Zaginiony ślad” — tropami ewolucji życia.
11.55. „Opowieści profesora Tutki” — „Motylek”.
15.55. Język niemiecki, lekcja 18.
16.20. Język angielski, lekcja 11.
16.55. Sylwetki twórców — Mieczysław Wejman.
17.25. „Twoi synowie Moskwa” — film dokumentalny.
18.00—19.00. Kosmos 1981 — „Owady”.
18.05. „Zaginiony ślad” — tropami ewolucji życia.
18.35. „Opowieści profesora Tutki” — „Motylek”.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10—22.20. Kosmos 1981 — „Owady”.
10.00. „Skojarzenia” — teleturniej.
20.15. O problemach psychologii społecznej.
20.45. „Ostrożnie z przyrodą”.
21.10. „Żądło śmierci” — o inwazji brzojskich pszczoł.
21.50. „Planeta Arachne” — o magil o-wadów.
22.20. „Kradzież” — film obyczajowy TVP w reż. Piotra Andrejewa.
23.30. Język niemiecki, lekcja 18.

WTOREK 17 LUTEGO 1981 r.

Program I
6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. II.
6.30. TTR, RTSS — matematyka, sem. II.

9.00. Język polski, kl. IV.
14.00. TTR, RTSS — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.55. Polska Kronika Filmowa.
17.05. „Strus pędziwiatr przedstawia”.
17.25. „Oriente” — reportaż filmowy.
17.35. Telewizja Młodych przedstawia — „Licytacja”.
18.15. „Skojarzenia” — teleturniej.
18.35. Lekarz radzi — „Bóle kręgosłupa”.
18.50. Dobranoc.
19.00. Skarbiec — dwutygodnik historyczny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. „Kino Interesujących Filmów: „Dziwna kobieta”, radziecki film obyczajowy w reż. Julija Rajzman.
22.30. Dziennik Telewizyjny.
22.45. „Osobowy 18.90” — program satyryczny.
23.10. Telewizja w sprawie miliardów.

Program II

10.25. „Cyrki świata” — „Przyjaciele cyrku”.
11.15. Lekarz radzi — „Bóle kręgosłupa”.
11.30. Skarbiec — dwutygodnik historyczny.
15.40. Język angielski, lekcja 18.
16.10. Język niemiecki, lekcja 18.
16.40. Kino Telewizji Najmłodszych.
17.10. Lidar — „Młodzieżowy magazyn techniki”.
17.40. „Tak czy inaczej” — program publicystyczny.
18.10. „Mój koncert” — Janusz Majewski.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. Wtorek Melomana.
21.20. 24 Godziny.
21.20. „Cyrki świata” — „Przyjaciele cyrku”.
22.15. „12 wierszy USA”.
22.30. Rozmowy o wychowaniu.
23.00. Język angielski, lekcja 11.

ŚRODA 18 LUTEGO 1981 r.

Program I
6.00. TTR, RTSS — matematyka, sem. IV.
6.30. TTR, RTSS — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.

8.10. Chemia, kl. VIII

9.55. Praca-technika, kl. I.
14.00. TTR, RTSS — biologia, sem. II.
14.30. „Od czego zależy zdrowie prosiat?”
15.00. Telewizja w sprawie miliardów.
15.20. NURT — matematyka.
15.55. Obiektów.
16.15. Dziennik Telewizyjny.
16.30. „Michałki”.
16.55. „Dzień dobry w kręgu rodziny”.
17.30. Dom i My — poradnik.
17.50. Klub Dobrej Książki.
18.15. Turystyka i Wypoczynek.
18.50. Dobranoc.
19.00. Camerata — magazyn muzyczny.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.10. FilMOTEKA Arcydziel: „Antonio das Mortes” — brazylijski film fabularny w reż. Glaubera Rocha.
21.55. XYZ, cz. I.
22.25. Dziennik Telewizyjny.
22.40. XYZ, cz. II.
23.10. Telewizja w sprawie miliardów.

PROGRAM II

Łomża, kino „Październik”: 12 II — „Ojciec Święty Jan Paweł II”, prod. pol. (bez ograniczeń); 13 II — „Nieme kino”, prod. USA (od lat 15); 14—16 II — „Emil Komediant”, prod. NRD (od lat 18); 17—19 II — „Zemsta różowej pantery”, prod. ang. (od lat 12).
Ciechanów, kino „Meteor”: 12—13 II — „Szał”, prod. ang. (od lat 18); 14—15 II — „Dora nadaje”, prod. węg. (od lat 12); 17—19 II — „Okupacja w 26 obrazach”, prod. jug. (od lat 18).
Grajewo, kino „Relaks”: 12—13 II — „Nokaut”, prod. jug. (od lat 18); 14—16 II — „Konwój”, prod. USA (od lat 15); 17—18 II — „Niech żyje Meksyk”, prod. radz. (od lat 15).
Jedwabne, kino „Oaza”: 12 II — „Lot nad kukulkanym gniazdem”, prod. USA (od lat 18); 14—15 II — „Wyrok śmierci”, prod. pol. (od lat 15); 18—19 II — „Kung-fu”, prod. pol. (od lat 15).

Łomża, kino „Październik”: 12 II — „Ojciec Święty Jan Paweł II”, prod. pol. (bez ograniczeń); 13 II — „Nieme kino”, prod. USA (od lat 15); 14—16 II — „Emil Komediant”, prod. NRD (od lat 18); 17—19 II — „Zemsta różowej pantery”, prod. ang. (od lat 12).
Ciechanów, kino „Meteor”: 12—13 II — „Szał”, prod. ang. (od lat 18); 14—15 II — „Dora nadaje”, prod. węg. (od lat 12); 17—19 II — „Okupacja w 26 obrazach”, prod. jug. (od lat 18).
Grajewo, kino „Relaks”: 12—13 II — „Nokaut”, prod. jug. (od lat 18); 14—16 II — „Konwój”, prod. USA (od lat 15); 17—18 II — „Niech żyje Meksyk”, prod. radz. (od lat 15).
Jedwabne, kino „Oaza”: 12 II — „Lot nad kukulkanym gniazdem”, prod. USA (od lat 18); 14—15 II — „Wyrok śmierci”, prod. pol. (od lat 15); 18—19 II — „Kung-fu”, prod. pol. (od lat 15).

Łomża, kino „Październik”: 12 II — „Ojciec Święty Jan Paweł II”, prod. pol. (bez ograniczeń); 13 II — „Nieme kino”, prod. USA (od lat 15); 14—16 II — „Emil Komediant”, prod. NRD (od lat 18); 17—19 II — „Zemsta różowej pantery”, prod. ang. (od lat 12).
Ciechanów, kino „Meteor”: 12—13 II — „Szał”, prod. ang. (od lat 18); 14—15 II — „Dora nadaje”, prod. węg. (od lat 12); 17—19 II — „Okupacja w 26 obrazach”, prod. jug. (od lat 18).
Grajewo, kino „Relaks”: 12—13 II — „Nokaut”, prod. jug. (od lat 18); 14—16 II — „Konwój”, prod. USA (od lat 15); 17—18 II — „Niech żyje Meksyk”, prod. radz. (od lat 15).
Jedwabne, kino „Oaza”: 12 II — „Lot nad kukulkanym gniazdem”, prod. USA (od lat 18); 14—15 II — „Wyrok śmierci”, prod. pol. (od lat 15); 18—19 II — „Kung-fu”, prod. pol. (od lat 15).

Wojewódzki Dom Kultury w Łomży:

w Galerii Amatorskiej Twórczości Artystycznej (hol) — wystawa grafik i rysunków Karola Ostrowskiego z Grajewa, czynna codziennie w godz. 8.00—20.00.
Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Grajewie: „Jaś i Małgosia” — spektakl kukielkowy (w sali Cechu Rzemiosł Różnych), 14 II, godz. 15.00.
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Wy-

Galeria Jednej Fotografii, ul. Mariana

Buczka 17 (witrina kwiaciarni „Mimoza”): Stanisław Lesiak — „Nogi”.
Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci,

Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzy-

we Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęce-nych): w wtorki i czwartki w godz. 11.00—18.00, w środy, piątki i soboty w godz. 10.00—15.00, w niedziele w godz. 11.00—15.00. Wystawy: „Rzeźba i tkanina Kuropiowskiej Puszczy Zielonej” — eks-ponując tkaniny dekoracyjnych i rzeźb u okresu od II połowy XIX wieku do współczesności, a także dekoracyjnych wyrobów snycerskich i fragmentów tkanin ubraniowych, ze zbiorów własnych, kolekcji Stanisława Pardo z Turcji i Muzeum Okręgowego w Ostrołęce „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej” — wystawa prezentująca wydobycie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu.

Park Etnograficzny Północno-wschod-

niego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęce-nych) w godz. 9.00—16.00. Wystawy: 1) Wnętrze chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkacki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpihlerok z wysta-
wa obrazującą przemiał i przechowywa-
nie zbóż, stodoła ze starym, drewnia-
nym kieratem i narzędziami bartnymi.
2) W Dworcu z Brzozek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu”.
3) W chacie z Baranowa wystawa „A-
dam Chętnik — życie i działalność”.
Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa

Kłuka w Ciechanowcu, czynne codzien-

nie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświęce-nych) w godz. 8.00—16.00 w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00. Wystawy stałe: 1) „Dzieje rolnictwa” (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, transport wiejski, mechanizacja rolnic-
twa, rzemiosło, tkactwo ludowe). 2) Wy-
stawa biograficzna Krzysztofa Kłuka. 3) Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnetrz. Wystawa czasowa: „Ludzie i zwierzęta” — pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci.

Wrażenia głębokiego współczucia

Kol. mgr JADWIDZE PROSTKO

z powodu śmierci

MATKI

składają:

Dyrekcja i pracownicy

Zbiórce Szkoły Gminnej

w Piątnicy.

k 501-1

Wrażenia głębokiego współczucia

Kol. mgr JADWIDZE PROSTKO

z powodu śmierci

MATKI

składają:

Dyrekcja i pracownicy

Zbiórce Szkoły Gminnej

w Piątnicy.

k 501-1

Wrażenia głębokiego współczucia

Kol. mgr JADWIDZE PROSTKO

z powodu śmierci

MATKI

składają:

Dyrekcja i pracownicy

Zbiórce Szkoły Gminnej

w Piątnicy.

k 501-1

Wrażenia głębokiego współczucia

Kol. mgr JADWIDZE PROSTKO

z powodu śmierci

MATKI

składają:

Dyrekcja i pracownicy

Zbiórce Szkoły Gminnej

w Piątnicy.

k 501-1

Wrażenia głębokiego współczucia

Kol. mgr JADWIDZE PROSTKO

z powodu śmierci

MATKI

składają:

Dyrekcja i pracownicy

Zbiórce Szkoły Gminnej

w Piątnicy.

k 501-1

10.00. „Witaj, Irino” — film obyczajowy.

21.20. Ekran reporterów — „Piękna Ita-

lia”.

12.05. Turystyka i Wypoczynek.

12.35. Dom i My — poradnik.

15.20. Język angielski, lekcja 11.

5.50. Język angielski, lekcja 18.

16.25. Program morski.

16.55. TWP: „Islam — polityka — reli-

gia”.

17.25. „Witaj, Irino” — rumuński film

obyczajowy.

20.10. Antyczny świat prof. Krawczuka

— „Egipt czyli trwanie”.

20.40. Poradnia Zaufanie.

21.20. Ekran reporterów — „Piękna Ita-

lia”.

21.50. 24 Godziny.

22.00. Słowa za Słowa — Zofia Milew-

ska, tłumaczka.

22.30. „Uśmiech spod parasola”.

23.00. Język angielski, lekcja 18.

Kolno, kino „Wrzos” 12—13 II — „Ele-

gia”, prod. pol. (od lat 15); 14—15 II —

„Idealna para”, prod. USA (od lat 15);

16—18 II — „Alicja już tu nie mieszka”,

prod. USA (od lat 15).

Nowogród, kino „Ziemowit”: 14—15 II

— „Zielone lata”, prod. pol. (od lat 12);

17—18 II — „Ostatni z Fleksnesów”,

prod. norwes. (od lat 15).

Stawiski, kino „Saturn”: 12—13 II — „Ob-

rót sprawy”, prod. ZSRR (od lat 15); 14—

15 II — „Korek”, prod. włosk. (od lat

18); 17—18 II — „Szacowni nieboszczycy”,

prod. włosk. (od lat 18).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars”: 12—

13 II — „Niewinne”, prod. włosk. (od

lat 18); 14—15 II — „Sowizdrzał Święto-

krzyski”, prod. pol. (od lat 15); 17—18 II

— „Powrót tajemniczego blondyna”, prod.

franc. (od lat 12).

Zambrów, kino „Kosmos”: 12 II —

„Alicja ucieka po raz ostatni”, prod.

franc. (od lat 15); 13—14 II — „Mandingo”,

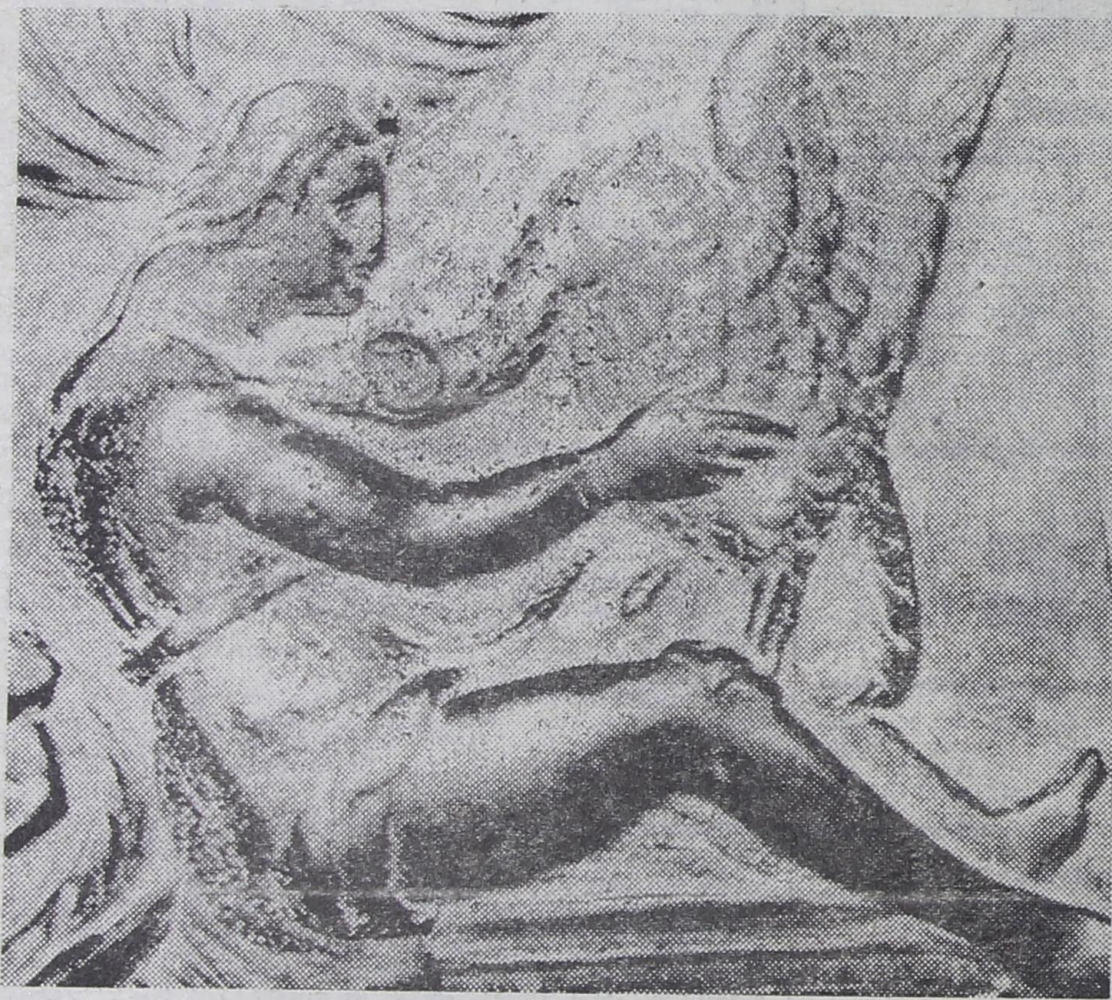
prod. włosk.-USA (od lat 18); 15—16 II —

„Bez miłości”, prod. pol. (od lat 18); 1

Leda z łabędziem



Caliari Paolo Veronese



Plaskorzeźba Antonio Filarete z rzymskiej bazyliki Św. Piotra

Myszka Miki, Kaczor Donald i cała reszta z fabryki snów pana Disneya są dla dzieci. Dorośli mają jelenia łabędzia. Wspaniały rogiacz na rykowisku króluje niepodzielnie, ale tuż za nim plasuje się królewski ptak na wodzie. Jeleń jest przystojniowy i ciągle niezastąpiony, ale — jak to się zdarza wielkim gwiazdom —

zdziażdżał trochę na stare lata, nie bodzie wrażliwych estetów, a wręcz przeciwnie: je z ręki w rezerwacie kiczu oswojonego.

Z łabędziem rzecz ma się inaczej. Dumne ptaszysko nie dało się wkleić w dziewiętnastowieczny oleodruk ani zahaftować w jarmarcznych ma-



Fot. Charlesa Francois Selliera, francuskiego malarza z XIX w.

katkach — ma swoje, nie zdobyte przez profanów ziemie, swoich wiernych wyznawców, a także mity i artystów, zawsze gotowych te mity żywić i upiększać. Do łabędziego śpiwu jeszcze łabędziowi daleko.



Rysunek Louisa Corintha

Najstarszy i najwspanialszy mit łabędzia stworzyli oczywiście Grecy. Jest to mit o miłości boga Zeusa do ziemianki Ledy, pięknej żony legendarnego króla Sparty. Łabędziowi przyszło tu pełnić rolę jakby kostiumową, ale za to pierwszorzędną. Przypomnijmy: Leda miała zwyczaj kąpać się w rzece nago, a że była rzeczywiście urodziwa, nie mogło to pozostać bez wpływu na obdarzonego temperamentem i wyobraźnią boga. Tyleż zafascynowany Ledą, co skrepowany swoją boską funkcją, Zeus ucieka się do fortelu: zamieniony w łabędzia krąży nad Ledą w kąpiel, a w celu udratyzowania akcji, każe Afrodycie, w postaci drapieżnego orła, zaatakować boga-łabędzia. Leda „ratuje” łabędzia na własnym łonie, przy czym ptak ratuje się tak intensywnie, że żonie króla Sparty nie pozostaje nic innego, jak popaść w omdlenie.

Leda zniosła nie tylko boskie zaloty, ale również, po pewnym czasie, dwa jajka. Z jednego wykluły się bliźniaki Kastor i Polluks, z drugiego zaś Kliternestra i piękna Helena — powód wojny trojańskiej.

Pierwsze plastyczne komentarze

wydarzenia, jak choćby marmurowe posągi Timoteosa, rzeźbiarza z IV w. przed naszą erą, są dość powściągliwe, ale już niewiele młodszy artyści antyku dostrzegają w tej historii śmiałość, wręcz perwersyjną erotykę. W kolejnych przedstawieniach łabędź jest coraz większy i bardziej agresywny, a Leda — zmysłowa, uległa lub walcząca, precyzyjna lub żywiołowa i — w coraz przemyślniejszych pozach. Znałca przedmiotu, niestrudzony tropiciel i kolekcjoner Ledy z łabędziem — Mikołaj Kaszyn stwierdza autorytatywnie, że sztuka antyku rozwiązała ten problem całkowicie i w różnych wariantach, dodając, że nieprzypadkowo Zeus wcielił się w łabędzia, a nie kanarka, bo już starożytni wiedzieli o wcale nie małym, anatomicznym i fizjologicznym, podobieństwie między łabędziem a mężczyzną, jeśli idzie o organy ważne w tym micie.

Leda i łabędź „pozowali” artystom różnych epok i nieprawdopodobnie odległych kalibrów. Malowali tę parę: Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Tintoretto, Delacroix, Cezanne i Małgorzata Berezowska, Wojciech Kossak i Tadeusz Styka, a także całe rzesze bezimiennych rzemieślników, zarówno tych solidnych, jak też najgorszych partaczy. Leda z łabędziem przybierała postać posągu i miniaturowej pieczętki, pojawiała się na płótnie, papierze, w alabastrze i metalach, była rytowana, lepiąca z gliny, szkicowana węglem i wytrawiana kwasami. Trafiała do najsławniejszych muzeów świata i na najpodszybsze targowiska, zdarzało się jej bywać w kościołach i burdelach, bo wem wszystko może się zdarzyć, kiedy pokusa ogarnie boga i gdy Leda to akceptuje.

Reprodukcje ze zbiorów Mikołaja Kaszyna.

Fot. Piotr Sawicki jr, Zdzisław Zaremba



Andre Lavrillier — rzeźbiona plakietka z XIX w.